AS

Nr. 36
3 WRZEŚNIA 1939 R.
CENA 40 GROSZY



CIEŃ JESIENI

Fot. Imre Santho.

# Mały syn wielkiego króla

HENRYK POTOCKI

SZKIC HISTORYCZNY

Jakżeż niewdzięczna i trudna rola syna i następcy wielkiego człowieka. Potężna i uznana indywidualność ojca usuwa go zupełnie w cień i unicestwia prawie jego osobowość. Nikt nie sądzi go według jego rzeczywistej wartości, lecz w porównaniu z jego wybitnym ojcem. Porównanie to wypada oczywiście najczęściej na niekorzyść syna. Jeżeli jest on indywidualnością równie wybitną jak ojciec, to spotyka się często z jego niechęcią, gdyż wielcy ludzie są zazwyczaj zazdrośni o swoją wielkość i gotowi są widzieć rywala we własnem dziecku. Jeżeli natomiast syn nie wykracza ponad przeciętność, albo jest zupełną miernotą, wówczas ginie zupełnie w cieniu wielkości ojca.

Tak było z synem i następcą Ludwika XIV.

Pozycja następców tronu bywa zazwyczaj kłopotliwa i niewdzięczna. Przeznaczeni do objęcia tronu, muszą mniej lub więcej bezczynnie oczekiwać na zgon króla. Nawet najbardziej inteligentni znoszą źle to, niejednokrotnie długie, oczekiwanie. Wystarczy wymienić chociażby Rudolfa Habsburga, Edwarda VII, czy VIII. A przecież wszyscy oni posiadali wiele zainteresowań i odznaczali się wybitną inteligencją.

O ile trudniej musiał znosić to oczekiwanie Ludwik, syn „króla-słońce", nie interesujący się niczem innem, prócz polowania i pozbawiony kompletnie inteligencji. Nieprawdopodobne wprost lenistwo mogło mu uczynić oczekiwanie mniej przykrem, ale też zostawiało mu więcej czasu na rozmyślania o tem, jak to będzie, kiedy on będzie królem. Kiedyś zastano go, jak wraz z najbliższem otoczeniem komentował ceremonjał koronacyjny i zastanawiał się nad szczegółami swojej przyszłej koronacji.

Sytuacja jego na dworze nie była godna zazdrości. Ludwik XIV nie kochał go: widział w nim następcą tronu i syna majestatu królewskiego, a nie swoje dziecko. Traktował go sucho, oficjalnie i w bolesny nieraz spos óbdawał mu odczuć swoją nad nim władzę. Dworzanie nie wychodzili w stosunku do niego nigdy poza ramy ceremonjałem nakazanego szacunku. Od chwili gdy stwierdzono, że król nie liczy się zupełnie z jego zdaniem, był zupełnie osamotniony. Grupowali się wokoło niego jedynie ci, którzy, niezadowoleni z obecnych stosunków, chcieli zapewnić sobie łaski przyszłego monarchy.

Nie było w tem nic dziwnego, trudno bowiem wyobrazić sobie człowieka, któryby mniej od niego pasował do wspaniałego dworu Ludwika XIV.

Już sam wygląd zewnętrzny robił jak najgorsze wrażenie. Blondyn o nalanej, okrągłej, czerwonej twarzy, gruby, ciężki, bez żadnego wdzięku w postaci, przypominał niezgrabnego niedźwiadka. Miał podobno przepiękne nogi, które jednakże zupełnie nie pasowały do jego opasłego tułowia: były za krótkie, za szczupłe i tak wątłe, że obawiając się aby się pod nim nie załamały, kazał się często prowadzić pod rękę. Jeżeli musiał chodzić sam, to zanim zrobił krok, badał końcem buta grunt przed sobą.

Nogi jego musiały być bardzo krótkie, skoro Raczyński, będąc właścicielem jego portretu pędzla H. Rigaud, nie mógł znieść tak rażącej dysproporcji i kazał jakiemuś malarzowi przedłużyć nogi.

Z nauk swego profesora, Bousseta, nie skorzystał Monseigneur — taki bowiem tytuł nosił — zupełnie. Nie posiadał żadnych zainteresowań intelektualnych, był tępy i leniwy. Sam się przyznawał, że od chwili gdy zakończyła się jego edukacja, nie wziął książki do ręki. Czytywał jedynie kronikę towarzyską w Gazette de France.

Współżycie z nim było bardzo trudne. Miał bardzo przykry charakter, był skryty, wyniosły, często przykro złośliwy i nie posiadał ani cienia zalet towarzyskich. Małomówność jego graniczyła z niemotą. Stwierdził kiedyś, że słowa ludzi na takiem stanowisku mają tak wielką wagę i mogą wywołać tak ważne nieporozumienia, jeżeli rzucane są bez zastanowienia, że woli mówić tylko wtedy, gdy zachodzi tego konieczna potrzeba.

W towarzystwie nudził się sam, a męczył innych, gdyż należało go bawić i okazywać zawsze i wszędzie, czego bezwzględnie wymagał, względy, należne mu ceremonjałem, jako następcy tronu. Jedyną rozrywką, której oddawał się chętnie, było polowanie. Przez pewien czas uprawiał gry hazardowe, ale przyrodzone skąpstwo położyło kres i tej rozrywce. Najchętniej spędzał większą część dnia, leżąc bezczynnie na szezlongu.

Nie mógł sobie zjednać nikogo, ponieważ nie posiadał żadnej z zalet, które mogłyby mu zapewnić już jeżeli nie miłość, to chociażby uznanie. Dworacy, tak zawsze skłonni do pochlebstw, chwalili w nim — oczywiście jeżeli zachodziła konieczna tego potrzeba — dobroć i delikatność. Ale i tych cech dodatnich nie posiadał. Jeżeli bywał dobry, to raczej dlatego, że nie chciało mu się być złym; delikatnym bywał wtedy, gdy lenistwo przeważyło w nim chęć złośliwości.

Nie przywiązywał się prawie do nikogo; czyż więc można się dziwić, że nie miał zupełnie przyjaciół i w gwarnem środowisku Wersalu był zupełnie osamotniony. Żył w cieniu swego wielkiego ojca, ściśle wypełniał swoje obowiązki następcy tronu i ślepo słuchał króla, którego bał się całe życie jak ognia.

Ludwik XIV stale traktował syna jak dziecko i nigdy nie pytał o zdanie. Dopuszczał go wprawdzie do codziennych konferencyj z ministrami, ale nie liczył się zupełnie z jego sądem.

W ten sam sposób, nie pytając Delfina o zdanie i nie licząc na możliwość sprzeciwu z jego strony, postanowił go ożenić. Wybór jego padł na siostrę elektora bawarskiego. Partja, politycznie rzecz biorąc, była dobra, pozostawała jedynie do wyjaśnienia kwestja, czy przyszła synowa nie będzie wyglądem swym szpeciła świetnego dworu. Portret księżniczki, przysłany z Monachjum, przedstawiał kobietę zupełnie przeciętną, co, biorąc pod uwagę dworską pochlebność malarza, kazało przypuszczać, że model był wybitnie brzydki.

Chcąc wyjaśnić wątpliwość, posłał Ludwik XIV do Monachjum specjalnego posła, który miał obejrzeć kandydatkę i dokładnie, bez pochlebstw ją opisać. Wysłannik zdał w liście relację z całą dyplomatycznie-dworską szczerością. Pisał więc, że księżniczka ma ładną figurę, zgrabną pierś, ale nieco ciemnawą cerę; twarz dosyć pełną, wargi niezbyt wprawdzie czerwone, ale znowu nie takie strasznie blade. Dłużej zatrzymał się nad opisem nosa, który wydał mu się trochę za duży i nieco spłaszczony na końcu — przyznaje jednak, że to specjalnie nie raziło.

Ludwik XIV zbyt dobrze znał swoich dworzan, aby z tego misternego opisu nie domyślić się, że księżniczka była bardzo brzydka. Zresztą następny list nie pozostawiał pod tym względem żadnych wątpliwości. Zawierał on między innemi następujące zdanie: „... cerę naokoło warg i na policzkach miała bardzo czerwoną, oraz kilka żółtych plam na twarzy... zresztą wszystkie cnoty moralne i zalety umysłu..."

Mimo tak niepochlebnych relacyj, Ludwik XIV nie chciał zrezygnować z tego małżeństwa. Posłał posiadany portret księżniczki do Monachjum i kazał go porównać z modelem. Wysłannik doniósł królowi, że portret był mocno pochlebiony, a nos, bardzo poważnie zmniejszony. Coś tam z tym nosem musiało być rzeczywiście nie w porządku, skoro wysłannik w każdym liście o nim wspominał. Król, chcąc wreszcie wiedzieć co ma sądzić o wyglądzie zewnętrznym swojej ewentualnej synowej wysłał do Monachjum nadwornego malarza z rozkazem, aby namalował księżniczkę jak najbardziej naturalnie. I tym razem poseł nadzwyczajny zaraportował królowi, że portret jest pochlebiony i że nos...

Ludwik XIV miał tego wszystkiego dość. Księżniczka była brzydka, ale przecież on, „król-słońce" mógł z niej zrobić nietylko ładną, ale nawet piękną: któż ośmieli się nazwać ją brzydką, jeżeli król uzna ją za osobę o przyjemnej powierzchowności. Aby urobić opinję, udając się na obiad do królowej, zabrał ze sobą świeżo namalowany portret księżniczki, własnoręcznie powiesił go na ścianie, oświadczając, że „chociaż ona nie jest piękna, to jednak nie robi złego wrażenia; ma pozatem dużo zalet..."

Oczywiście dworacy szeptali sobie za królewskiemi plecami, że przyszła żona następcy tronu jest okropną brzydulą, dziwili się wielkości jej nosa, ale głośno przyznawali, że wprawdzie nie jest piękna, ale ma coś królewsko pociągającego.

Monseigneur odrazu zwrócił uwagę na tak, jakby go ona wcale nie dotyczyła. Nie interesował się tą kwestją, gdyż wiedział, że nikt nie będzie go pytał o zdanie i że ewentualny sprzeciw nie odniósłby najmniejszego rezultatu. Zresztą było mu najzupełniej obojętne jak miała wyglądać żona; cieszył się samym faktem posiadania żony. Miał już 20 lat, ale z obawy przed ojcem nie miał jeszcze wogóle do czynienia z kobietami, cieszył się więc, że się ożeni i chociaż w pewnej dziedzinie uniezależni od ojca. Na pytania co sądzi o swojem przyszłem małżeństwie odpowiadał, że jest bardzo zadowolony, że jest mu najzupełniej obojętne jak żona będzie wyglądać i że wymaga jedynie od niej aby była cnotliwa i wierna.

Przez pierwszych kilka lat małżeństwa był istotnie zadowolony i nie myślał o innych kobietach. Potem jednak doszedł do przekonania, że istnieje na świecie wiele kobiet znacznie piękniejszych od jego żony i że on jako następca tronu może liczyć na łatwe sukcesy. Najpierw zwrócił uwagę na fraucymer swojej żony i to tak skutecznie, że Ludwik XIV musiał go skasować. W obawie przed ojcem nie nawiązywał żadnego trwałego stosunku, kontentując się przelotnemi przygodami. Kilka pań zaskarbiło sobie na

*Ciąg dalszy na str. 7-ej.*

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ ŁEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

# AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.
CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

**Numer 36** **Niedziela, 3 września 1939** **Rok V**



Potęga militarna Stanów Zjednoczonych może podobnie, jak w czasie wojny światowej odegrać decydującą rolę w zbliżającej się wielkimi krokami walnej rozprawie państw demokratycznych z osią Berlin-Rzym. Na zdjęciu: Hydroplan marynarki wojennej U. S. A. startuje w czasie manewrów z fal wzburzonego morza.

# Paryżanki



Panorama Paryża — widok ze szczytu Łuku Triumfalnego.



W kawiarni na Champs Elysées... Malował J. G. Domergue.

Na prawo: W teatrze „Ambassadeurs"... Malował J. G. Domergue.

— Paryżanki, fiu fiu!

W tych słowach mieści się już cała ocena normalnego czy przeciętnego „typa". Lubi on bardzo Paryżanki (zwykle na odległość) ale niema o nich dobrego wyobrażenia. Cały Paryż rozbawiony, a raczej dostarczający zabawy, Paryż wszystkich „boites de nuits" od najdroższych music-hallów aż do „zakazanych" lokalów, Paryż wyzywający, kokieteryjny, podniecający wszystkie zmysły — to Paryż Paryżanek.

W przekonaniu wojażera z nad Wisły niema w Paryżu uczciwej kobiety. Każda albo upadła albo chce upaść — z jego pomocą. Bo Paryż to jeden wielki Babilon, a Paryżanka tą istotą, która renomę Babilonu podtrzymuje. Niema Paryżanki, którejby nie można zostać amantem!

Z temi przekonaniami przybywa p. Stanisław do Paryża. I tu dopiero przekonywa się jak bardzo się pomylił. Wziąwszy do kieszeni kupę banknotów „puszcza" się po Montmartrze i Montparnasie w poszukiwaniu zepsutych Paryżanek. Owszem poznaje bardzo dużo niemoralnych dziewcząt, czy nawet sędziwych kobiet, mówiących po francusku, ale przy bliższym badaniu rodowodu przekonywa się, że córy Babilonu pochodzą z Anglji lub Holandji, Węgier czy



Rumunji. Tak więc to co uważał za Paryżanki — to import.

— No dobrze, myśli sobie nasz rodak, spróbuję za to z „dziennemi" Paryżankami.

Znowu zawód, bo te „dzienne" to wprawdzie prawdziwe Paryżanki, ale zupełnie nieprzystępne i niedostępne. Zawrzeć z taką znajomość na ulicy, umówić się z nią na schadzkę — nie sposób. Jedna pogardliwe zmierzy, druga zmierzy się do energiczniejszego odparcia agresji męskiej.

Nasz lowelas biada: gdzież te Paryżanki, o których piszą gazety, które są bohaterami skandalów i sławnych trzyszpaltowych procesów?

Jest oczywiste, że nasz przyjaciel uległ optycznemu złudzeniu. To co prasa bulwarowa wyolbrzymiała, uznał za cechę zasadniczą Paryżanki. Czytał on olbrzymie artykuliska o skandalach (które jak na 4-ro miljonowe miasto wcale nie są częstsze niż w Kopyczyńcach lub Kozienicach), ale już nie zwrócił uwagi na inne rubryki również dotyczące Paryżanek. Bo te inne schowane są w numerze i drukowane petitem. Łatwo więc np. przeoczyć taką wiadomość le to Paryżanek rokrocznie dostaje — nagrodę cnoty, słynną Prix Montyol. Jedna, która np. zaopiekowała się dziećmi sąsiadki choć sama robotnica, inna która zupełnie bezinteresownie pielęgnowała obcego paralityka, znów ta dzielna harcerka, która z Sekwany wyciągnęła samobójcę... Oto Paryżanki.

Oprócz Paryżanek bohaterskich, wzniosłych, nawet świętych są i inne. Tych innych więcej: paryżanki przeciętne. Wierzajcie mi: zwyczajne kobiety. Ani wampy, ani megery (choć są i takie), ani szczególnie piękne ani nadmiernie brzydkie. Czem jednak różni się Paryżanka od kobiety innych miast — to szykiem.



— Zrób to a to, a jak nie będzie na czas wylecisz na zbity pysk,

bo Paryżanka — niema służącej. Niewątpliwie bogate panie, właścicielki pałaców czyli „hotels particuliers" mają lokai i majordomusów i szoferów i wszelkiego rodzaju „valetaille", ale jak nasza szara inteligentka — Paryżanka obywa się bez służącej.

A co powiemy o Paryżance pracującej po biurach, często dyrektrisy wielkiego magazynu, adwokatce, lekarce, dziennikarce, uczonej? Nie zatracają one czaru, nie przestają być „très parisiennes" w todze, czy chałacie pracowniczym. Jeżeli dodamy, że są to przytem osóbki wesołe (ale nie wcudzysłowie), dowcipne, nieraz złośliwe, pełne temperamentu (mimo to wierne mężowi) to otrzymamy sylwetę nieco inną aniżeli ta banalna widziana z Krakowa czy Warszawy.

Wprawdzie raz lub dwa razy na tpdzień sprzątanie generalne urządza posługaczka, wprawdzie kupuje już w sklepie obrane ziemniaki, ale jednak trzeba te ziemniaki ugotować, a raczj usmażyć na oliwe (t. zw. „pommes frites") i wogóle przyrządzić smaczny obiad z trzech a nawet z czterech dań a oprócz tego śniadanie (o godz. pierwszej), które prawie nie różni się od obiadu. Roboty więc dużo, bo i w mieszkaniu musi być schludno. Mąż musi pokochać mieszkanie, aby ją kochał.

Może i to jest jeden z powodów, dla którego Paryżanka ograniczyła ilość dzieci do jednego lub dwojga. Atoli ten sławny praktyczny system, który przeniósł się i na wieś francuską, zakończył się w roku 1939. — Dzięki nowej ustawie ogrody paryskie zaludnią się dziećmi.

***Ludwik Tomanek***

Dziewczęta tańczące kankana. Malował J. G. Domergue.

Paryżanka się ubiera, bo umie się ubrać. Jest elegancka, choć nie dostała pieniędzy od amanta, tyle co od męża lub rodziców, to znaczy bardzo niewiele. Ale umie kupować, wie, w czem jej do twarzy, ma niezawodny instynkt szyku oraz drugi jeszcze ważniejszy instynkt wywąchiwania tanich źródeł zakupu. Tak więc dzięki tym zaletom potrafi z „niczego" robić modną figurkę, stanowiąc na ulicy żywą ilustrację tego wszystkiego, co mózgi rysowników i wielkich krawców powymyślały.

Naturalnie potrafi się też malować i upudrować, nie popadając w przesadę tak charakterystyczną dla naszych pań. Sztuka makijażu, to sztuka dobrego smaku, a dobry smak to Paryżanka. Widziałem onegdaj panią. która miała wymalowane na karminowo wszystkie paznokcie, z wyjątkiem jednego, który był czarny i brzydki. Paryżanka nie popełniłaby tego nietaktu, nie podkreśliłaby ohydy jednego wstrętnego pazura natrętnym pomalowaniem innych. To też pierwsze wrażenie człowieka, który przybywa do Paryża: nie widać brzydkich kobiet. Później się jednak je rozpoznaje. Potrafiły one jednak niedociągnięcia przyrody świetnie zamaskować toaletą, makijażem i fryzurą. Prawdziwy to kamuflaż bulwarów paryskich. Elegancka Paryżanka i zaniedbany w ubiorze Paryżanin — oto dwa szczegóły, które dobrze pamiętamy!

Jeżeli Paryżanka się ubiera, to nie znaczy, że się stroi, bo gdyby się stroiła toby nie miała czasu na co innego. A przecież ma ona tyle zajęcia, każda jej minuta jest cenna, bo cały dom na jej gospodarstwie. Paryżanka nie może powiedzieć swej służącej Madelon:



**Na prawo: Nikt nie odbierze paryżance tytułu najelegantszej i najlepiej ubranej kobiety świata. (Próba w magazynie mód „Marcel Rochas").**

# *As morskiej broni:*

# KONTRTORPEDOWIEC

O kontrtorpedowcu słyszy się częściej niż o innych okrętach. Dzieje się tak dlatego, ponieważ ma on zadania bardzo rozległe i rozmaite. Nie będzie zbyt wielką przesadą, jeżeli nazwiemy go okrętem uniwersalnym. Jego pierwowzoru szukać należy w lekkiej, szybkiej i zwrotnej korwecie z czasów floty żaglowej.

Kontrtorpedowiec powstał stosunkowo bardzo niedawno, jako dalsze, kolejne ogniwo w rozwoju torpedowca. Dzisiaj w nazwie jego tkwi przeżytek, bowiem poza zwalczaniem torpedowców, obecnie przez mocarstwa morskie naogół już nie budowanych, okrętowi temu wyznaczono również inne, nowe i bardzo odpowiedzialne zadania.

Jest to przedewszystkiem okręt, przewyższający wielkością i wypornością swoją znacznie niewielki torpedowiec. I nie może być inaczej; musi być większy, skoro ma udźwignąć wcale poważną artylerję oraz potężne maszyny, zapewniające mu odpowiednią szybkość, która na pewnych typach tej klasy, zwłaszcza włoskich i francuskich, przekroczyła już 44 mile morskie na godzinę. Mowa tu oczywiście o szybkości maksymalnej, której bynajmniej nie używa się na codzień, ale proszę to przetłumaczyć na kilometry, pamiętając, że mila morska liczy 1852 m. Otrzymamy liczbę, równą tej, którą wyciąga pociąg pośpieszny, co na morzu jest doprawdy szybkością imponującą. Oczywista, potężne maszyny są odpowiednio ciężkie, toteż wybitnie powiększają wyporność okrętu. (Przy sposobności przypominamy, że „wyporność" — termin używany dla określania wielkości okrętu wojennego — oznacza ciężar okrętu, równy ciężarowi w y p a r t e j przez ten okręt

Posiadając liczne wyrzutnie torpedowe oraz artylerję średnią i przeciwlotniczą, kontrtorpedowiec jest zupełnie pozbawiony pancerza. Jedynie jego działa zostały obudowane lekkiem przedpiersiem, mającem zresztą znaczenie raczej moralne niż praktyczne. Zamiast ciężkiego opancerzenia wyposażono go — jak już wspomnieliśmy — w silne maszyny, dające ogromną szybkość, w której ten łatwo zwrotny okręt znajduje najlepszą obronę przed nieprzyjacielskiemi atakami.

Jak więc widzimy kontrtorpedowiec posiada pierwszorzędne wartości bojowe: uzbrojenie w torpedy i artylerję o kalibrze, pozwalającym na zwalczanie okrętów mniejszych, tudzież szybkość i zwrotność, które zkolei umożliwiają mu uchylanie się od torped i ognia artylerji nieprzyjacielskiej, oczywiście w pewnych tylko granicach.

Posiadając tak wielkie zalety, kontrtorpedowiec ma niemniejsze obowiązki. Już podczas wojny światowej okazało się, że jest on prawdziwym „biczem bożym" na okręty podwodne, które jako niezmiernie precyzyjne i wrażliwe na uszkodzenia winny unikać spotkania z kontrtorpedowcem, jak djabeł święconej wody. Jeżeli Stany Zjednoczone mogły przerzucić do Francji przez Atlantyk olbrzymie ilości materjału wojennego i miljonową armję, przyczem ani jedn transport z wojskiem nie został w drodze do Europy zatopiony, pomimo prowadzonej przez Niemców bez pardonu wojny podwodnej, to było to nie tylko wynikiem reformy żeglugi, ale również zasługą licznych kontrtorpedowców.

Skoro zajrzymy do odnośnych danych statystycznych, zdających naprawdę bezstronnie sprawę z przebiegu ostatniej wojny, to przekonamy się, że po niewątpliwych sukcesach niemieckich łodzi podwodnych, które osiągnęły rekord w 1917 roku fantastyczną liczbą 900 tysięcy tonn, zatopionych w ciągu jednego tylko miesiąca kwietnia kiedy dostawa materjału wojennego i surowców niezbędnych dla prowadzenia wojny stanęła pod znakiem zapytania, a koalicja przed widmem nieuchronnej klęski — nagle, po wypowiedzeniu przez U. S. A. wojny Niemcom, coś się odmieniło. Straty aljantów i neutralnych w tonażu zaczęły się wyrażać liczbami mniejszemi i — co ważniejsze — z miesiąca na miesiąc szybko nadal malejącemi, wreszcie przestały mieć wogóle dla przebiegu wojny jakiekolwiek znaczenie.

Poza wspomnianą reformą żeglugi, polegającą na łączeniu statków w gromadne karawany, płynące zygzakami pod eskortą kutrów myśliwskich, uzbrojonych w granaty głębinowe i aparaty podsłuchowe, pierwszorzędną rolę odegrały tu kontrtorpedowce, których liczba po przystąpieniu do wojny Stanów Zjednoczonych zwiększyła się po stronie koalicji w sposób decydujący. Groźne stalowe rekiny, niemieckie „U — booty", do niedawna postrach kapitanów marynarki handlowej, przestały spędzać sen z ich powiek. Chociaż bowiem pozostały nadal wielkiem niebezpieczeństwem dla pojedyńczego statku, który zresztą stał się nader rzadkiem na morzach zjawiskiem, to jednak nie mogły już żadną miarą zaważyć na szali wojny.

Kontrtorpedowiec, prócz konwojowania karawan transportowych, prócz zwalczania okrętów podwodnych, ma również funkcje ściśle bojowe podczas samej bitwy. Tak np. w pamiętnej bitwie Jutlandzkiej, na skutek zdecydowanego ataku kontrtorpedowców niemieckich, flota brytyjska, słynna „Grand-fleet" robi zwrot w tył w obawie przed ich torpedami. Pozwala to Niemcom wymknąć się z położenia, które wobec dwukrotnej przewagi brytyjskiej powinno było stać się ich grobem. Zanim bowiem ciężkie okręty linjowe admirała Jellicoe zrobiły ponownie zwrot ku jądru niemieckiej „Hochseeflotte" — była ona już daleko.

Również w przeprowadzaniu dalekich zwiadów, kontrtorpedowce, jako okręty bardzo szybkie, oddają usługi wręcz nieocenione. Że zaś posiadają również urządzenia do stawiania min, więc zreasumowawszy całość ich zadań trudno się dziwić błyskowi entuzjazmu, który zapała się w oku fachowca, kiedy o kontrtorpedowcach mowa.

Z czasem wobec narzucania kontrtorpedowcom przez współczesną taktykę morską coraz to nowych zadań, powstała potrzeba stworzenia okrętu o jeszcze większej sile bojowej, przy jednoczesnem zachowaniu ich dotychczasowej szybkości i zwrotności. Rodzi się więc nowy typ kontrtorpedowca o wyporności zbliżonej już do ciężaru krążownika lekkiego, sięgającej bowiem 3 tysięcy tonn. Przedstawicielami tego typu są wypierające po niespełna 2.200 tonn, a uzbrojone w 5 dział kalibru średniego, 4 przeciwlotnicze najcięższe karabiny maszynowe i 6 wyrzutni torpedowych okręty, naszej sojuszniczki, Republiki Francuskiej, „Jaguar", „Chacal" i „Leopard" oraz nasze kontrtorpedowce „Burza" i „Wicher".

Mieczysław Zydler

**Kontrtorpedowiec „Burza" na Bałtyku.**



*Ciąg dalszy ze str. 2-ej.*

dłużej jego względy, zawsze jednak kończyło się interwencją króla, pilnie czuwającego nad moralnością swego synka.

W tych warunkach Monseigneur starał się otaczać swoje przygody miłosne najgłębszą tajemnicą. W wyborze przyjaciółek był zupełnie niewybredny: najchętniej korzystał z usług panienek z opery królewskiej, był bowiem pewien ich dyskrecji. A na tej zależało bardzo stale zastraszonemu Delfinowi, który obawiał się najbardziej, aby król nie dowiedział się wypadkiem o jego przygodach. Starał się też załatwiać te sprawy jak najciszej i jak najszybciej.

Tak mniejwięcej przedstawiało się życie Delfina za życia żony. Po jej śmierci, która nastąpiła po dziesięcioletniem pożyciu, stał się jeszcze bardziej osamotniony. Żona jego nie brała prawie wcale udziału w życiu dworskiem, ale właśnie dlatego była dla niego odpowiednią towarzyszką. Była do męża przywiązana i chociaż w pewnym stopniu umilała mu samotność. Po jej śmierci Monseigneur spędzał czas przeważnie u swej przyrodniej siostry, księżnej Conti (córki L. De La Valliere). U niej zetknął się z jej dwórką, panną Choin.

Była to osoba, która równie jak i następca tronu nie pasowała zupełnie do towarzystwa dworskiego. Była gruba, niska, o karykaturalnie krótkich nóżkach, wystającym brzuchu i nieproporcjonalnie obfitym biuście. Twarz miała pełną, spłaszczoną, ciemną, nieczystą cerę, płaski, zadarty nos, duże, pełne usta i zupełnie popsute zęby, wydające niesłychanie przykry zapach, który — jak twierdziła Madame (bratowa Ludwika XIV) — czuć było w drugim końcu pokoju. Posiadała wybitny dar konwersacji, niestety przykry zapach odstraszał od rozmowy z nią. Dworacy przyznawali wprawdzie, że miała bardzo dobre serce i rzadką bezinteresowność, tem niemniej jednak twierdzili zgodnie, że była zakałą Wersalu.

Monseigneur od razu zwrócił uwagę na osobę, która podobnie jak on, nie pasowała do wspaniałego dworu w Wersalu. Chętnie przebywał w jej towarzystwie, a że umiała zabawiać go rozmową, więc wkrótce nie mógł się bez niej obejść.

Dla wszystkich stało się jasne, że Monseigneur zakochał się i to do tego stopnia, że poddał się całkowicie władaniu kochanej kobiety.

Panna Choin przestała być zakałą Wersalu: stała się osobą, o której łaski zabiegali ci wszyscy, którzy chcieli wywierać wpływ na przyszłego monarchę. Mimowoli stała się ośrodkiem zręcznej intrygi dworskiej, mającej na celu podporządkowanie Delfina interesom pewnej grupy wybitnych osobistości. Ludwik XIV przejął korespondencję dotyczącą tej sprawy i z miejsca usunął pannę Choin ze dworu, a synowi zakazał się z nią widywać.

Monseigneur nie zrezygnował jednak ze swej miłości. Uczucie to było silniejsze, aniżeli strach przed ojcem. Korzystał teraz ze znacznie większej swobody, gdyż otrzymał

*Ciąg dalszy na str. 28-ej.*

















# KĄCIK FILATELISTYCZNY

Ambitna Jugosławja pragnie zaznaczyć swą kulturę artystyczną również i w filatelistyce. Po wydaniu licznych znaczków, opiewających piękno krajobrazu jugosłowiańskiego, a zwłaszcza uroczych wybrzeży Dalmacji, ministerstwo poczty, pragnąc powiększyć fundusze na cel budowy domu pracowników pocztowych w Belgradzie wydało reprodukowane obok znaczki, przedstawiające różnorodne środki komunikacyjne. Zarówno kompozycja rysunków, jak i techniczne wykonanie tych znaczków zasługuje na podkreślenie.

Filatelistyka stała się minjaturowym plakatem, propagującym zarówno historję danego kraju, jak i jego kulturalne wartości. Znaczenie tej propagandy doceniają również i małe państewka, wydające nawet za często nowe nakłady znaczków pocztowych, z czego skarb państwa czerpie znaczne dochody. Graficy współcześni znajdują nowe szlachetne pole do popisu. Kompozycja znaczka pocztowego, wykonywana w znacznem powiększeniu, musi odpowiadać swemu przeznaczeniu i dostosować się umiejętnie do rodzaju reprodukcyjnej techniki. Najszlachetniejszą techniką, używaną w filatelistyce, jako staloryt. Wskutek postępu reprodukcyjnej techniki znikają niestety arcydziełka minjaturowe, wykonane w stalorycie, a znaczki drukuje się nowoczesnemi ułatwionemi technikami, przynoszącemi w pomniejszeniu rysunek artysty.

*M. D.*

**Na lewo od góry: Znaczki jugosłowiańskie, wydane na cel budowy domu pracowników pocztowych w Belgradzie, przedstawiające rozmaite środki lokomocji. Na prawo: Poniżej dwóch znaczków Jugosławji najnowszy znaczek Irlandji.**









# Życie NIE * JEST * ROMANSEM

ZOFIA KLECZYŃSKA

OPOWIADANIE

Kto pamięta, jak podróżowało się w czasach wielkiej wojny, temu już nic z zakresu środków lokomocji nie potrafi zaimponować. Niemniej przeto trafiają się, nawet wśród tej generacji, mało filozoficznie usposobieni obywatele, którzy, puściwszy się w podróż, doznawszy dziewięćdziesięcio-minutowego spóźnienia (15° mrozu! Nieoczekiwany dziw w naszym klimacie! Vis maior!) straciwszy połączenie i zmuszeni przez to do bezterminowego czekania na jakiejkolwiek stacji — tracą dobry humor, a nawet klną brzydko, starannie dobranemi wyrazami.

Proszę nie sądzić, że chcę tu odbywać coś w rodzaju publicznej spowiedzi, gdy wyznam, że w takiej właśnie sytuacji znalazłam się ja sama. Zamilczę nawet dyskretnie, w jakich słowach wyraziłam swe oburzenie, wezwawszy wpierw niebo, ziemię i urzędnika ruchu na świadków dziejącej mi się krzywdy. Ulżywszy w ten sposób wezbranemu sercu, zebrałam nieliczne na szczęście pakunki i poszłam usiąść w poczekalni trzeciej klasy. Zajmowało mnie usilnie następujące pytanie: który ze świętych kalendarza jest patronem rezygnacji? — A może lepiej zmienić na poczekaniu religję i wzywać pomocy któregoś z wielkich fakirów, posiadających ponoć zdolność siedzenia przez niezliczone godziny na ubitej gwoździami desce, nie tracąc przytem pogody ducha?

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Deska, na której siedziałam, nie była wcale nabita gwoździami. Poczekalnia była nawet ogrzana. Jednem słowem miałam szczęście, utknąwszy w mej podróży tu właśnie. (Duża stacja, miasto uniwersyteckie).

Ażeby czemś zapełnić wlokący się czas, zaczęłam obserwować współtowarzyszów niedoli. Nie wszyscy wszakże mieli miny zgnębione. Wielu przybywało właśnie wprost z domu, w radosnem podnieceniu rozpoczętej podróży. Tych wygląd był wypoczęty, świeży i zdobywczy. Biegali z pośpiechem, tłoczyli się przy wejściach, denerwowali niepotrzebnie. Bawiło mnie to niezmiernie. Miałam ochotę wołać do nich: O ludzie mało inteligentni! Czyż pokutuje w was jeszcze przesądna obawa spóźnienia się na pociąg?!

Do osób spieszących się należała także grupa czterech młodych ludzi, którzy rozlokowawszy się tuż koło mnie, zwrócili moją uwagę. Mieli wesołe, wyszczypane przez mróz twarze i czapki wyższej uczelni. Studenci. Właśnie powiedziano im, że ich pociąg spóźniony jest — jak dotąd — o czterdzieści minut, lecz wiadomość ta nie zdołała jeszcze pohamować ich rozpędzonego pośpiechu. Jeden przerzucał gorączkowo zawartość licznych kieszeni w poszukiwaniu legitymacji, drugi ze skupioną miną zapinał rękawiczki na ostatni guzik, a trzeci. miły blondynek w okularach, o zabawnie czupurnej minie, otworzył swą torbę podróżną i szperał przez chwilę w jej zawartości, aż zatrzasnąwszy ją gniewnie, zawołał:

— Psiakość! Zapomniałem wziąć spodnie narciarskie!

— Biedaczek! — padło drwiąco z ust któregoś z kolegów, — mamusia nie zapakowała rzeczy i brakuje spodenek!

Blondynek zmiażdżył mówiącego wzrokiem i rzekł spokojnie:

— Pociąg spóźniony o czterdzieści minut, a może i więcej. Zdążę jeszcze wrócić się po nie. A zajmijcie dla mnie miejsce!

Schwycił swoją torbę i wybiegł z poczekalni.

Tamci, zdaje się, dopiero teraz zrozumieli, że mają przed sobą dłuższe czekanie i rozluźnili więzy gnającego ich aż dotąd pośpiechu. Rozsiedli się koło mnie, paląc papierosy. Z rozmowy ich wywnioskowałam, że jadą w tę samą, co i ja, stronę. Zrobiło mi się jaśniej na duszy; więc już tylko czterdzieści minut! (Będąc z natury optymistką, nie brałam pod uwagę możliwości dalszego spóźnienia).

Moi studenci tymczasem, odbywszy skomplikowaną konferencję finansową, wydelegowali jednego z pośród siebie po kupno biletów.

Czas płynął. Wkrótce obwieszczono przez megafon, że nasz pociąg nie ma większego spóźnienia, a nawet prawdopodobnie nadrobi około pięciu minut. Górą optymiści! Radość moja była wielka, zaraz jednak przypomniał mi się miły blondynek i jego narciarskie spodnie i zaczęłam się martwić, że gotów się spóźnić. Niechby już ten nasz pociąg nie nadrabiał owych pięciu minut!... Zdenerwowanie moje rosło z każdą chwilą. Nie słuchałam już o czem mówią moi przygodni towarzysze, błądziłam tylko niespokojnym wzrokiem od drzwi do zegara i od zegara do drzwi. Spóźni się, biedactwo! Spóźni się niechybnie! A tam gdzieś w domu czeka go napewno mamusia, na wzmiankę o opiece której tak się zaperzył...

Nareszcie — jak grom spadła wiadomość, że pociąg nadchodzi. Ruszyliśmy wszyscy ku wyjściu z gorączkowym, nieusprawiedliwionym pośpiechem. Zapomniałam w tej chwili nawet o biednym, spóźnionym blondynku. Tłoczyłam się na równi z innymi, ukryta, jak za tarczą, za szerokiemi barami jednego z trzech studentów. W tym samym szyku zdobyliśmy pociąg i znaleźliśmy się we czworo w jednym przedziale.

Teraz znów pomyślałam o blondynku i zakwaterowawszy się przy oknie, jęłam świdrować oczyma falujący na peronie tłum. Lecz czas mijał, a jego nie było. Już ostatni podróżni wsiąknęli w swe wagony, już konduktor zatrzasnął ostatnie drzwiczki, gdy wtem — westchnienie ulgi wyrwało się z mej piersi, a czatujący po drugiej stronie okna student otworzył je szybko i począł wymachiwać ręką, bo oto u wyjścia na peron ukazała się postać naszego blondynka, w przekrzywionych okularach, z torbą w ręku, żeglującego w najwyższym pędzie w stronę pociągu. Dojrzał dawane mu znaki i wskoczył na stopnie naszego wagonu w chwili, gdy pociąg ruszał.

Wkrótce był już w przedziale.

— Uf! O mało się nie spóźniłem! — zawołał, zadziwiając mnie trafnością swej uwagi, — a czy macie dla mnie bilet?

— Bilet dla ciebie?! Skądże?

— Jakto?! Nie macie dla mnie biletu?!

— Naturalnie, że nie mamy.

— A przecież was prosiłem!

— Bądźmy ściśli, — odezwał się na to milczący dotąd krępy szatyn o chytrym wyrazie twarzy; prosiłeś nas o zajęcie ci miejsca, oto jest! — Tu posunął się ostentacyjnie na ławce. Zresztą, skąd mogliśmy mieć pewność, że się nie spóźnisz? A w takim razie, coby się stało z biletem?

Blondynek stał zdruzgotany, przecierając okulary.

— Nie rozumiem, jak cię puścili na peron bez biletu? — rzekł inny z kolegów.

Biedna ofiara narciarskich spodni zamachała beznadziejnie rękami.

— Ach, puścili... Przysiągłem, że bilet kupiony dla mnie, macie wy...

— Młodzieńcze! Nie składaj nigdy lekkomyślnych przysiąg!

— Dobrze... Ale... ale... co teraz będzie?...

— Nie masz pieniędzy na dopłatę?

— Nie mam...

— No to nie widzę innej rady — rzekł znów chytry szatyn — tylko musisz schować się pod ławkę do czasu przyjścia konduktora. Pani nas nie zdradzi... — Wdzięczny uśmiech w moją stronę.

Odpowiedziałam takimże uśmiechem, bo co miałam robić? Wiem zbyt dobrze, jak wygląda studencka kieszeń.

Blondynek stał, jak niemy posąg rozpaczy. Czupurny wyraz zniknął zupełnie z jego sympatycznej twarzy.

— No, właź! — zachęcali tamci.

— Ale... czy ja się tam zmieszczę?

— Zmieścisz się! Próbuj!

— Zresztą nie masz wyboru. Musisz.

Jak nurek, który się rzuca w najeżoną niebezpieczeństwami, nieznaną głębię oceanu, — jak skazaniec, który kładzie głowę pod topór — tak rzucił się nieszczęsny stu-

dencik na brudną podłogę wagonu. Mimo szczerego współczucia, musiałam użyć całej siły woli, żeby nie parsknąć śmiechem, tak wyglądała desperacka gimnastyka, jakiej się tam oddawał, usiłując wcisnąć się pod ławkę. Koledzy delikwenta byli też grobowo poważni.

Podniósł się wreszcie, pełen wstydu i kurzu.

— Nie mogę... Nie idzie...

— Zdejm płaszcz — poradzili zaraz zwczliwi przyjaciele.

I płaszcz blondynka powędrował na wieszadło, a on sam, w ciemnem, świątecznem ubraniu — pod ławkę.

Tym razem poszło mu lepiej i wnet zniknął za trzema parami nóg swych towarzyszów.

Mnie coprawda, choć patrzyłam na to, trudno jest dotąd zrozumieć, jakim cudem ten duży chłopak mógł się zmieścić w tak ciasnej przestrzeni. Faktem jest jednak, że się zmieścił.

Pociąg pędził, starając się widocznie nadrobić spóźnienie. Monotonnie stukały po szynach koła. A konduktor nie przychodził.

Po pewnym czasie z pod ławki dobył się głuchy jęk.

— Już dłużej nie mogę... Rura...

— Siedź cicho! Konduktor idzie! — Bo właśnie w korytarzu rozległy się czyjeś kroki — i trzy pary nóg instynktownie zsunęły się ku tyłowi, godząc obcasami w męczennika nowoczesnej komunikacji.

Nie był to jednak konduktor, lecz tłusta żydówka, prowadząca z pośpiechem podejrzanie czerwonego potomka ku końcowi korytarza.

Jęk z pod ławki powtórzył się.

— Och, ta rura!...

— Co za rura?

— Ta, co grzeje... Taka gorąca... Nie wytrzymam!

— Cicho! Konduktor idzie!

Córa Izraela ze swą latoroślą przedefilowała z powrotem. Milczenie. Stukot kół. Za oknem pierwsze domki jakiegoś miasta. I znów sceniczny szept z pod ławki:

— Kiedyż ten konduktor przyjdzie?!...

— Niewiadomo.

— Bo ja już nie mogę!

— Cicho, cicho! Zaraz będzie duża stacja!

Nie wiem, jakim zrządzeniem losu ani na tej stacji, ani na następnych nikt nie wsiadł do naszego przedziału. Zapomniał też o nas widocznie i konduktor, bo minęła znów godzina bez jego odwiedzin. Pech prześladował konsekwentnie nieszczęsnego blondynka. Rzucał on od czasu do czasu z miejsca swej kaźni zbuntowane jęki, uciszane natychmiast słowem i czynem przez czujnych kolegów. Ta sama scena powtarzała się wielokrotnie z drobnemi odmianami.

— Upiekę się tu żywcem! — wzdychał głos z pod ławki.

— Cicho! Konduktor idzie! — odpowiadały zgodnym chórem trzy głosy i trzy pary nóg przyciskały delikwenta.

Albo:

— Już dłużej nie wytrzymam!... Uduszę się!... Ugotuję!...

— Cicho! Konduktor idzie! — brzmiała niezmienna odpowiedź, poparta odpowiednim ruchem nóg.

Moje serce wezbrane było najzupełniej bezużyteczną litością. Bo i cóż mogłam pomóc biednemu, sympatycznemu blondynkowi w jego niedoli? Mogłam pójść odszukać konduktora i zażądać, by natychmiast przyszedł sprawdzić bilety w naszym przedziale, lecz wstrzymywała mnie od tego obawa wzbudzenia jego podejrzeń tak bądź co bądź niecodzenną gorliwością. Magłam również powiedzieć mu poprostu, że w moim przedziale jedzie pasażer bez biletu, ukryty pod ławką — i w ten sposób uwolnić na pół upieczonego blondynka z jego strasznego więzienia, lecz czy byłby mi za to wdzięczny? — Tak więc siedziałam biernie na miejscu ze współczuciem w sercu i gazetą w ręku.

— Zdrętwiałem cały... Smażę się... Nie mogę dłużej...

— Cicho! Konduktor idzie!

Tym razem przyszedł naprawdę. Obejrzał najpierw mój bilet, następnie wziął z ręki chytrego szatyna bilety studentów. Spojrzał na bilety, potem na nich, potem znów na bilety.

— Panów jest trzech — powiedział — a bilety cztery? O mało nie krzyknęłam.

— Jest i czwarty — odpowiedział skwapliwie szatyn — tylko siedzi pod ławką.

— Pod ławką? A to dlaczego?

— Bo on, panie konduktorze, pierwszy raz jedzie koleją i bardzo się wstydzi.

Konduktor ryknął gromkim śmiechem.

— A zniżki panowie macie? — ledwo zdołał wykrztusić.

— Mamy, mamy.

Nie sprawdzał ich. Kiwnął ręką i wyszedł. Jeszcze z korytarza słychać było jego śmiech.

Wówczas zpod ławki jęła się gramolić długa, szara postać. To, co ukazało się wreszcie moim oczom, w niczym nie przypominała wyświeżonego blondynka z początku podróży. Jego ciemne ubranie było popielate od kurzu, twarz wyglądała, jak świeżo zdjęty z patelni kotlet, okulary mu spadły, włosy zlepione potem, przylgnęły do czoła... Powrócił za to dawny czupurny wyraz. Dzikim wzrokiem spojrzał na pękających bezczelnie ze śmiechu kolegów. Myślałam, że rzuci się na nich.

Nie zrobił tego. Widocznie nie stracił zupełnie przytomności i zdołał policzyć, że było ich trzech...

Nie zrobiłam tego i ja, mimo miotającego mną oburzenia. Nie powiedziałam im nawet, co o nich myślę...

Pogardzam sobą!

— — — — — — — — —

Gdy w kwadrans później moi towarzysze podróży wysiedli na małej stacyjce, wychyliłam się przez okno, by ich jeszcze zobaczyć.

Szli wszyscy czterej, trzymając się pod ręce, a mroźne powietrze drgało ich śmiechem.




*KRZYSZTOF JAXA.*

## PO OBU STRONACH WITRYNY

### *OBRAZEK*

Padał deszcz — drobny, zimny, przenikliwy... Przed cukiernią stał mały chłopak. Wsunął ręce w kieszenie i patrzył.

Co chwila otwierają się duże, oszklone drzwi. Przepływa fala ciepła, pachnie czekoladą i ciastkami. Prawie że czuje smak słodyczy na skrzywionych, drżących z zimna ustach.

Co chwila potrącają go ludzie otuleni w ciepłe płaszcze, zamykają pośpiesznie ociekające deszczem parasole i z uśmiechem zadowolenia otwierają lśniące, szklane drzwi.

Przed cukiernią stoi mały obdarty chłopak i przez wielką szybę, zasnutą drobną siecią deszczowych kropel, stara się podpatrzeć wszystkie uroki „zamkniętego raju", do którego wejść mu nie wolno.

W głodnych oczach czai się zły cień...

Z daszka czapki deszcz ścieka jak łzy...

— — — — — — —

Za wielką, zimną szybą siedzi przy marmurowym stoliku śliczna pani. — Odrzuciła z ramion puszyste, srebrne futro. Ma na ustach uśmiech — obowiązkowy uśmiech dla ludzi.

Dookoła dźwięczą rozmowy — snują się kelnerzy.

Niespokojne, trwożne oczy pięknej pani biegną wciąż ku wielkim oszklonym drzwiom. — Właśnie wchodzi z impetem gruby jegomość zasapany. Otrząsa się i klnie na podłą aurę.

Zawiedzione, smutne oczy błądzą znów wśród stolików bezmyślnie.

Na maleńkim, złotym zegarku szybko biegną wskazówki.

Coraz trudniej uśmiechać się ustom...

W oczach, które na spotkanie szły swemu szczęściu, teraz błyszczą łzy.

— — — — — — —

Jakiś dobrotliwy starszy pan wychodząc z cukierni dał chłopcu ciastko — takie duże z kremem.

I nagle stało się, jakgdyby z za chmur błysnęło słońce.

Znikła gdzieś szarpiąca dziecinne serca gorycz zazdrości i buntu.

Uśmiechają się wesoło jasne szare oczy. Błyszczą wypchane policzki i umazane kremem usta.

— A jednak życie jest piękne.

— — — — — — —

A za wielką szybą śliczna pani siedząca przy marmurowym stoliku wyjmuje z torebki srebrne lusterko i zaciera pudrem ślady dwóch wielkich, niemądrych łez, które wymknęły się jej z pod powiek...

Bo już wie, że dłużej czekać nie warto...

Budapeszt był pierwszem wielkiem miastem, które poznałem w okresie dzieciństwa. Wspaniała sylweta Budy wyłaniająca się z Dunaju na tle góry św. Gelerta, na której wiosna rozpoczyna się o miesiąc wcześniej, utkwiły mi mocno w pamięci wraz z masą monumentalnych gmachów, wzniesionych w guście połowy XIX wieku, w stylu eklektycznym.

Dziś, gdy po lat dziesiątkach patrzę na Budapeszt, z tym większym podziwem oceniam ówczesną kulturalną dynamikę narodu węgierskiego, który mógł zbudować przed 70-ciu laty miasto, odpowiadające jeszcze dziś współczesnym wymaganiom urbanistycznym, swą celowością rozplanowania ulic i placów. Lata współżycia z monarchją austrjacką, a zwłaszcza okres panowania Franciszka Józefa I, nie powiększyły tego dobytku, stworzonego przez „największego Węgra", hr. Stefana Széchenyi'ego. Ten bohater narodowy, który skończył swe życie somobójczą śmiercią w więzieniu austrjackiem, był twórcą pierwszego w Europie wiszącego mostu na Dunaju, twórcą akademji umiejętności powstałej z jego funduszów, konserwatorjum, teatrów, regulacji brzegów Dunaju i założycielem budapeszteńskiego towarzystwa wyścigowego. Széchenyi jako młody oficer walczył w bitwie pod Lipskiem w r. 1813.

Most wiszący na Dunaju ma swoją wojenną historję. Zbudowany w r. 1842 przez inż. angielskiego Clarka, długości 384 m, już w r. 1849 miał być wysadzony w powietrze przez Austrjaków. Kiedy żołnierze cesarscy nie chcieli wykonać barbarzyńskiego rozkazu i zniszczyć cudo techniki, smutnej pamięci pułkownik austrjacki Alnoch sam, zapalonym cygarem spróbował podpalić umieszczoną w pylonie mostu beczkę prochu. Wskutek jednak przezorności inżyniera Clarka most nie został uszkodzony a natomiast pułkownik Alnoch sam wyleciał w powietrze i zginął w falach Dunaju. Most z przebitym pod górą tunelem, długości 340 m zbudowanym, również przez Széchenyi'ego, umożliwił świetny rozwój tej części miasta, mieszczącej dziś dzielnicę urzędów, dyplomacji oraz miasto-ogród, rozłożone na malowniczych wzgórzach Budy.



Na prawo: Zamek średniowieczny rekonstrukcja architektoniczna w parku wystawowym w Budapeszcie.

# PIĘKNO STOLICY ARPADOW



Widok basenów termicznych w zakładzie kąpielowym „Paladyn" na wyspie św. Małgorzaty.



Basen termiczny na wysokości 450 metrów na wzgórzu szwabskiem w Budzie.



W kole: Most nad Dunajem.

Budapeszt należy do najbardziej obdarowanych przez przyrodę miast na świecie. Odkrywcą budapeszteńskich kąpieli termicznych był cesarz Hadrjan, który założył obóz warowny w dzisiejszej Budzie. Od pięciu źródeł nazwali go Rzymianie Apuincum (Aquae quinque). Z rzymskiego miasta pozostały do dziś ruiny teatru i term. W okresie wypraw krzyżowych lecznicze wody Budapesztu uzdrawiały cudownie rany powracających krzyżowców. Pierwszymi utytułowanymi gośćmi kąpielowymi, byli król Jerozolimy Gotfryd z Bouillon'u, królowa Marja Anjou, która zdobiła baseny otoczone wiszącymi ogrodami. Również wielki król węgierski Matjasz Korwin znakomity miłośnik sztuki, posiadacz największej w Europie bibljoteki iluminowanych rękopisów, otoczył renesansowym przepychem kąpiele cieplne, które umieli uszanować a nawet rozbudować Turcy w okresie 150-letniego zaboru Węgier, po nieszczęśliwej bitwie pod Mohaczem.

Dziś Budapeszt miasto o miljonowej ludności jest olbrzymiem uzdrowiskiem, w którem istnieje dziesięć wielkich zakładów kąpielowych, osiem olbrzymich otwartych basenów termicznych, dziewięć zamkniętych kąpieli cieplnych. Ilość wody ciepłej, o temperaturze od 30 do 80° tryskającej dziennie wynosi 59 miljonów litrów, tryskającej ze



Powyżej: Nocny widok Budapesztu w dniu św. Szczepana w czasie puszczania ogni sztucznych.

Poniżej: Gmach sądu najwyższego w Budapeszcie, zbudowany przez inż. arch. Hauszmanna w r. 1896. Zdjęcia: M. Dienstl-Dąbrowa.



115 źródeł, poza 400 źródłami mniejszymi, t. zw. gorzkiej wody, znajdującemi się w Budzie. Większość tej masy wód spływa nie zużytkowana do Dunaju. Obecnie zarząd miasta Budapesztu postanowił wykorzystać tę cieplną energję dla centralnego ogrzewania domów w Budapeszcie.

Wskutek tych cudów przyrody życie miasta ma charakter olbrzymiego zdrojowiska a życie na bulwarach przypomina żywo Paryż.

Nic dziwnego, iż ks. Windsoru w czasie swego ostatniego pobytu powiedział, „iż żyjąc w Budapeszcie wyczuwa się całą radość życia".

Mimo trosk jakie ciążą nad dzisiejszem życiem politycznem Węgier, ludność Budapesztu nie zatraca swego wrodzonego humoru i wdzięku. Miłość do swej stolicy opisują Węgrzy w poezji, pieśni i muzyce. Dumni są ze swego miasta i uważają je za najpiękniejsze w świecie. Po traktacie w Trianon, 1/7 ludności węgierskiej mieszka w swej stolicy, jedynym wielkim miastem Węgier (poza Szegedynem liczącym 140.000 mieszkańców).

Zbudowane na wyrost miasto zaspokaja dzisiejsze potrzeby komunikacyjne ludności, lecz żałować należy, iż najstarsza podziemna kolejka w Europie, biegnąca pod ul. Andrassy'ego nie została od czasu swego założenia tj. od r. 1900 rozbudowana, choć współczesna urbanistyka słusznie uważa ten rodzaj komunikacji za najidealniejszy w miljonowych miastach.

Budapeszt posiada bogate zbiory sztuki mieszczące się w węgierskim Muzeum Narodowem, założonem z incijatywy hr. Franciszka Széchenyi'ego w r. 1848. Muzeum i bibljoteka powstały z prywatnych darów magnatów węgierskich i posiadają niezmiernie cenny dział rękopisów iluminowanych z bibljoteki króla Matjasza Korwina i starych druków.

Muzeum sztuk pięknych obejmujące wyczerpujący dział retrospektywnego malarstwa węgierskiego szczyci się posiadaniem arcydzieł tej miary co „Madonna" Rafaela, Goyi „Kobieta nosząca wodę", El-Greca „Pokutująca Magdalena", Rembrandta „Sen św. Józefa", Murilla „Pan", jak i bogaty dział włoski z obrazami Aretina, Giotta, Tycjana, Tintoretta, Weronesa, Filippa Lippi, Covegia, Giorgiona. Z niemieckich malarzy reprezentowani są: Cranach i Holbein z flamandzkich: Rubens, Van Dyck, Jordaens, Teniers, z holenderskich: Rembrandt, Hals, Hobbema, Ruysdael, Brenghel, Meming, z hiszpańskich: Goya, Greco, Murillo, Velasquez, z angielskich: Lawrence, Gainsbourough, Constable, Reynold, Hogarth. Dobrze reprezentowany jest Dürer swoim autoportretem, oraz starzy mistrzowie węgierskiego malarstwa jak Kupetzky i Manycky.

W galerji nowoczesnego węgierskiego malarstwa, mieszczącego się przy ul. Andrassy znajdują się rzeźby Meuniera, Rodina, Maillola i Mestrovica oraz dzieła malarskie znakomitych francuskich impresjonistów. W zapoczątkowanym dziale polskim znajduje się szkic olejny Jana Matejki „Bitwy pod Warną" oraz obrazy prof. Jarockiego, Borowskiego, Rafała Malczewskiego i Dadleza.

Ponad Budapesztem góruje masyw królewskiego Zamku wznoszący się na „Górze Twierdzy". Początki jego sięgają czasów króla Beli IV, t. j. roku 1243. Król Zygmunt (1384—1437) przebudował swój gród, a Mateusz Korwin nadał mu świetność epoki renesansu. Skoro zamek stał się podstępnym łupem sułtana Solimana, Turcy zniweczyli go wypalając nawet z marmurowych kolumn wapno! Cesarzowa Marja Teresa kazała przebudować ten zamek powstały na osnowie gotyckiej, w stylu baroku i upodobnić go do cesarskiego wiedejńskiego Burgu. Również następni architekci, jak Ybl i Hauszman chcąc dogodzić cesarzowi Franciszkowi Józefowi, prowadzili swe dzieło w stylu wiedeńskiego zamku. Mimo to cesarz Franciszek Józef I., król Węgier, niechętnie przybywał do Budapesztu, a skoro przyjeżdżał, przywozil ze sobą w butelkach wiedeńską wodę do picia (!) nie korzystając z owych 59 miljonów litrów leczniczej, gorącej wody, tryskającej z budapeszteńskich źródeł. Natomiast królowa Elżbieta, jego małżonka, pokochała ten zamek i Węgrów i wiodła swe smutne życie w jego wspaniałych lustrzanych komnatach.

Dowodem czułej pamięci dla ostatniej węgierskiej królowej, zamordowanej w Genewie przez włoskiego anarchistę Lucheniego, jest muzeum pamiątek królowej Elżbiety, znajdujących się w skrzydle pałacu ozdobionego efektownie przez węgierskich malarzy i rzeźbiarzy.

Najcenniejszą pamiątką historyczną, to kościół koronacyjny wznoszący się na wzgórzach Budy przebudowane w gotyckim stylu. — Z jego architekturą łączy się umiejętnie skomponowana przez prof. Schulka baszta rybacka w romańskim stylu, pozostałość z dawnych fortyfikacyj, bronionych przez cech rybaków. Stąd rozlega się przepiękny widok, na panoramę Pesztu w której dominuje budynek parlamentu węgierskiego, dzieło architekta Emeryka Steindla. Budynek, będący repliką londyńskiego parlamentu, tworzy masę o długości 268 m., a szerokości 123 m. Jest to budynek w neogotyckim stylu, o centralnej kopule wysokości 96 m. Przed parlamentem znajduje się najpiękniejszy plac w Budapeszcie, zwany Placem Wolności, ozdobiony licznymi pomnikami bohaterów niepodległościowych Węgier. Na placu powiewa stale zwieszona do połowy masztu chorągiew węgierska, jako symbol żałoby za utratą na skutek traktatu trianońskiego 2/3 obszaru kraju. (Z 325 km. kw. ujęto Węgrom 232.000 km. kw.).

Widok nocny Budapesztu, a zwłaszcza feerycznie oświetlonych monumentalnych gmachów po stronie Budy, jest nieporównany w swym osobliwym charakterze. Budapeszt zna swój urok i umie go w pięknej formie pokazać. Piękne miasto radości i zdrowia.

*Marjan Dienstl Dąbrowa.*



„ZAZA"
TAŃCZY CLAUDETTE COLBERT



# Mówmy sobie ty...



...dziś młodzieniec spoufala się pod wpływem alkoholu i proponuje zawarcie braterstwa człowiekowi, który mógłby być jego ojcem...

Wytworny lokal rozrywkowy, nastrój rzadko spotykany... Orkiestra gra najnowsze przeboje, trunki znakomite, towarzystwo dobrane. Ludzie poufalą się ze sobą coraz więcej. W miarę konsumowanych napojów dusze stają się szczersze, temperamenty ognistsze.

— Pijemy „bruderschaft"! Zawsze mówiłem, że jesteś pierwszorzędny druh i doskonały chłop... — mówi z lekką czkawką młodzieniec do starszego jegomościa, który aranżował całą zabawę i za zabawę płaci. Napijmy się... Mnie na imię Alojzy, a tobie, staruszku?...

Piją przez ramię, a potem ślinią się wzajemnie długo... Potem zapominają jak któremu na imię, a potem poczynają sobie mówić „per ty" z rozmaitymi epitetami, których w świecie towarzyskim nie używa się, a jeśli się używa, to chyba właśnie w takiej sytuacji.

* * *

Na wysokim zydelku, przy długim barowym stole siedzi eteryczna panna Mrówcia w nienagannie skrojonej toalecie wieczorowej z obnażonemi białemi ramionami, z dużem wcięciem z przodu i z tyłu. Jest wogóle... i jest jak to mówią w humorze... Obok niej z nienagannie uczesaną fryzurą, z rozdziałkiem, jak pod cyrkiel, w smokingu, nieco blady i nieco drżący siedzi pan Tuptuś, który także jest wogóle i jest jak to mówią w „sztosie"... Cedzą przez słomkę zimny cocktail, „specjalność" lokalu. Muzyka gra jakieś tango słodkie i rzewne, reflektory rzucają na salę kolorową gamę. Panna Mrówcia w subtelnych, wypielęgnowanych palcach trzyma papierosa.

— Mrówciu... panno Mrówciu... — szepce przejęty do głębi pan Tuptuś...

— Słucham... — odpowiada sennie panna Mrówcia, ściągając usteczka, grające najgłębszym odcieniem karminu, w sposób wyrażający uprzejmą wytworność. Chce być zimna, a zarazem chce być uprzejma... Nie chce tego Tuptusia zbytnio spoufalać, ale go też nie chce odstręczać...

— Panno Mrówciu... — a może tak „bruderschaft"?

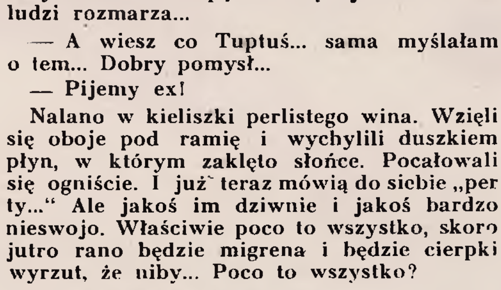
Panna Mrówcia cedzi wolno przez słomkę zimny likwor i zimnemi badawczemi oczyma patrzy na Tuptusia.

Ale zimny likwor ma w sobie ogień, ma w sobie płomień i żar. Podnieca, rozwesela, czyni człowieka tolerancyjnym, usposabia na — jak to mówią „wszystko jedno"... Zimny likwor umie pętać wolę i jakoś dziwnie ludzi rozmarza...

— A wiesz co Tuptuś... sama myślałam o tem... Dobry pomysł...

— Pijemy ex!

Nalano w kieliszki perlistego wina. Wzięli się oboje pod ramię i wychylili duszkiem płyn, w którym zaklęto słońce. Pocałowali się ogniście. I już teraz mówią do siebie „per ty..." Ale jakoś im dziwnie i jakoś bardzo nieswojo. Właściwie poco to wszystko, skoro jutro rano będzie migrena i będzie cierpki wyrzut, że niby... Poco to wszystko?



Rycerze, przyrzekając sobie dozgonne braterstwo, lali wodę na skrzyżowane miecze...

Braterstwo, pobratymstwo, węzły mocniejsze nad śmierć! Nie jeden raz ludzie niespokrewnieni z sobą przysięgali sobie dozgonne braterstwo. Taka przysięga obowiązywała na całe życie. Bywała potwierdzana przez uroczyste ceremonje. Kiedyś dwaj rycerze, przyrzekający sobie przyjaźń i braterstwo dozgonne lali wodę na skrzyżowane miecze. Innym razem otwierano na rękach żyły serdeczne i mieszano krew z krwią. W innym wypadku zawierano braterstwo i przyjaźń dozgonną po wysłuchaniu Mszy Świętej, po spowiedzi i przyjętej Komunji. Składano przysięgę na stopniach ołtarzy i tej przysięgi dochowywano wiernie. — Stary, prasłowiański zwyczaj, który w burszowskich knajpach niemieckich spospolitował się i nabrał charakteru braterstwa pijackiego, nie mającego nic wspólnego z wielką ideą, jaka była przyczyną narodzin tego zwyczaju.

Braterstwo w dawnych czasach było potwierdzeniem wobec pobratymca wielkiej zasady: — Jesteśmy jednej krwi z sobą! Było potwierdzeniem węzłów rodowych, plemiennych i narodowych. Było zarazem wspólnem podjęciem walki i wszelkich wysiłków w imię dobra rodu, plemienia czy narodu.

Braterstwo mogło być zawierane także z ludźmi innego pochodzenia, a przez to sasamo było przyjęciem obcego w obręb danej grupy rodowej czy narodowej. Miało swój głęboki, nawet metafizyczny sens. Dwaj rycerze, którzy zawarli z sobą pobratymstwo znalazłwszy się w tłoku bitewnym po przeciwnych stronach naprzeciw siebie, opuszczali ku ziemi miecze i nie krzyżowali ich. Co więcej... W przypadku niebezpieczeństwa, grożącego drugiemu pobratyniec zasłaniał go własną piersią i własnym mieczem.

Pobratymstwo, to była wielka rzecz.

A dziś? W lokalu rozrywkowym młody gołowąs podpity alkoholem, klepie po ramieniu człowieka, który mógłby być jego ojcem i proponuje mu zawarcie braterstwa przez wypicie tego, czy innego trunku do dna. A dziś blady Tuptuś proponuje wypicie braterstwa znudzonej Mrówci... Tempora mutantur!

* * *

Do dzisiejszego ceremonjału zawierania braterstwa należy koniecznie wypicie alkoholu, przy trzymaniu się nawzajem pod ramię. Następuje potem mniej lub więcej głośny czy serdeczny pocałunek „z dubeltówki".

Geneza tego ceremonjału jest bardzo dawna. Kiedyś w ten sposób wypijano wodę zaczerpniętą z jednego źródła, nad którem właśnie przysięgano sobie braterstwo. Potem wypijano wino, święcone za czasów chrześcijańskich w kościele w dniu św. Jana Chrzciciela. Wspólne wypicie tego samego płynu, miało być symbolem wspólnoty krwi. Dziś sens starego zwyczaju zatracił się w zupełności i nabrał cech, które rażą.

Ale zwyczaj jest dość powszechny. Niema prawie zabawy, niema szerszego przyjęcia, na którem ludzie nie zawieraliby z sobą tego typu braterstwa. Jest więc coś, co wymaga bliższej analizy tej sprawy. Bo przecież idzie o to, że kwestja braterstwa, to nie jest tylko sprawa mówienia sobie przez „ty", a więc sprawa spoufalenia się z kimś. Genetycznie sens zagadnienia sięga o wiele głębiej. To też należałoby, jeśli się już kultywuje ten zwyczaj, podnieść go na dawny, wysoki piedestał. Ale to jest niestety tylko pium dessiderium. Może przyjdzie i czas na to, że stary, słowiański i polski zwyczaj, wynaturzony w knajpach niemieckich napełni się nowym sensem, nową krwią i zdobędzie nową, wysoką wartość.

Zastanówmy się nad tą kwestją pod kątem widzenia zagadnień życia codziennego: Czy należy zawierać braterstwo po pijanemu? Uważamy, że ten stan jaknajmniej odpowiada owemu poważnemu ceremonjałowi.

Po drugie: Kto komu ma proponować braterstwo? Czy młodzik gołowąsy siwemu, dojrzałemu mężczyźnie, czy też naodwrót? Czy ma braterstwo proponować mężczyzna kobiecie, czy odwrotnie? Czy wogóle stawianie sprawy braterstwa między mężczyzną



**Powyżej: — Mnie na imię Alojzy, a tobie staruszku...?**

**Poniżej: — Panno Mrówciu... a może tak „bruderschaft”?**

i kobietą ma sens w zwyczajach towarzyskich?

Wreszcie nasuwa się bezkompromisowa wprost kwestja, jacy ludzie mogą zawierać z sobą braterstwo? Czy wystarczy znać kogoś powierzchownie, zetknąć się z nim przypadkiem przy stole, wypić kilka wódek i już...? Czy też braterstwo należy zawierać z ludźmi, odpowiadającymi nam pod każdym względem, a więc pod względem moralnym, pod względem charakteru, pod względem wspólnoty dążeń, upodobań itd.

Uważamy, że już samo postawienie powyższych kwestyj sprawę wyjaśnia. Nie trzeba zbyt głęboko wnikać w sprawę, ażeby zrozumieć, że w kwestji towarzyskiego zwyczaju zawierania braterstwa panuje za wielka swoboda, zwłaszcza tam, gdzie leje się dużo alkoholu i to nie za kołnierz.

A propos stosunku między mężczyzną i kobietą w sprawie braterstwa. W starych zwyczajach słowiańskich, a nawet dziś w obrzędach ludowych, zwłaszcza na południu zawiera się braterstwo między mężczyzną i kobietą. Odbywa się to w okresie wiosny podczas obrzędów Wielkiej Nocy. Dwoje młodych ludzi przyrzeka sobie przyjaźń i stosunek braterski. To przyrzeczenie pieczętuje się pocałunkiem poprzez wieniec uwity ze świeżych, wiosennych kwiatów. Braterstwo obowiązuje na rok. Po roku może być zerwane jednostronnie, ale może być także przedłużone, tym razem już na całe życie Między dwojgiem młodych ludzi, którzy zawarli takie braterstwo istnieje stosunek jak między rodzeństwem, to jest naprawdę stosunek brata do siostry. Sprawa posunięta jest tak daleko, że prawem zwyczajowem do niedawna jeszcze wśród południowych Słowian w razie śmierci jednego z takich pobratymców, drugi dziedziczył po nim cały majątek.

Któż w tym starym zwyczaju proponuje braterstwo: mężczyzna czy kobieta? Kobieta... Zwraca się ona do mężczyzny, któremu ufa, z prośbą, ażeby był jej bratem i wziął ją w swoją opiekę.

Zwyczaj ten sięga swą genezą bardzo daleko, do czasów, kiedy to narody słowiańskie hojnie przelewały krew w walkach z Niemcami, czy też z Turkami i Tatarami. Wówczas ginęły wymordowywane całe rodziny i wówczas to było wiele dzieci i kobiet, które szukały opieki. Takie to właśnie nieszczęśliwe istoty przyjmowano do rodziny ceremonjałem braterstwa.

Zasada braterstwa i pobratymstwa narodziła się w ogniu walki i wskutek tego ma w sobie wielki, szczytny, rycerski patos. Wyrazem tego patosu jest bezinteresowna ofiarność i poświęcenie za wielkie ideały, a tem samem za druha serdecznego, stającego z wszelką pomocą w każdej potrzebie i walczącego o te same ideały. Z drugiej strony, ten promienny i słoneczny patos rycerski uzewnętrznia się w opiece nad słabszymi, a przedewszystkiem w roztoczeniu rycerskiej opieki nad kobietą, której dobro i cześć rycerzowi były droższe nad jego własne życie. Każdocześnie stawał w obronie swej pobratymki nietylko wtedy, gdy jej groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo, ale stawał z narażeniem życia na udeptaną ziemię przeciw każdemu, ktoby śmiał w jakikolwiek sposób jej uchybić.

Żyjemy w okresie napięcia wszystkich sil narodowych, żyjemy w okresie, w którym ziemia może się okryć purpurą krwi żołnierskiej. Stąd to w dobie mobilizacji wszystkich sił należałoby pomyśleć o mobilizacji tych wszystkich nakazów i ideałów, jakie składają się na rycerskie morale.

Należałoby więc wyciągnąć ten piękny zwyczaj z mroków lokali rozrywkowych, gdzie dusza mięknie pod wpływem rozlewnych melodyj, oparów alkoholu i kolorowej gamy reflektorowej, a wyprowadzić go na słońce prawdziwych zasad rycerskich, które na zawsze pozostaną treścią życia każdego gentlemana.

**Sar.**





W chwilach, kiedy nad Europą coraz wyraźniej zarysowują się krwawe chmury, z których lada chwila może uderzyć grom, ludzie usposobienia pokojowego i wierzący, że życie może układać się jak sielanka, skierowują swe myśli ku krajom spokojnym, nad którymi niebo jest błękitne i bez chmur.

Takim krajem jest przedewszystkiem Ameryka. Chociaż i ona zdaje się wchodzić coraz bardziej w orbitę polityki europejskiej, to jednak nie grozi ani Stanom Zjednoczonym ani państwom południowym wojna na ich terytorjum.

A przecież Ameryka nie jest tylko krajem kominów fabrycznych, gigantycznych wytwórni samochodów, pasty do butów, czy też zelówek. I tam są olbrzymie połacie kraju utrzymane w stanie pierwotnym, prowincje, które do dziś przypominają powieści pani Beecher-Stove, lub bardziej współczesnego Jack Londona. Wprawdzie postępująca coraz bardziej cywilizacja niszczy niejedno piękne uroczysko preryj czy dżungli amerykańskiej, ale zato przychodzi naturze z pomocą sam człowiek, wyłączając niektóre okolice z obrotu przemysłowego, tworząc wspaniałe rezerwaty, w których wszystkie uroki przyrody zachowują swe dawne walory. W ten sposób postępowe Stany Zjednoczone starają się zachować swój charakter, a dając opiekę wymierającym Indjanom zachowują swemu krajowi najciekawszych bo pierwotnych jego mieszkańców. Dawno już przeszły czasy, kiedy wodzowie Indjan, noszący dziwaczne przydomki „Sokole Oko“, „Orle Skrzydło“ i in. prowadzili walkę na śmierć i życie z „blademi twarzami“. Obecnie są to ludzie, którzy grają rolę pośrednią między ciekawostką etnograficzną a dumnymi z swej historji autochtonami. Trochę może pozerzy — bo do tego zmusza ich poniekąd reklama i liczni fotoreporterzy chwytający ich twarze na kliszy aparatu — są oni dziś nad wyraz spokojni i tylko w pewnych okolicznościach, jak np. podczas pobytu angielskiej pary królewskiej w Kanadzie występują w całej krasie swego stroju i z akompanjamentem tradycyjnych uroczystości. Ci Indjanie, to również swego rodzaju rezerwat U. S. A., rezerwat zresztą niezwykle cenny i otoczony opieką władz. Podobnie jak bobry, egzotyczne drzewa puszczy amerykańskiej itd. tak i oni stanowią „żelazny kapitał“ rezerwatów amerykańskich.

Wędrując po tych okolicach poznaje turysta te Stany Zjednoczone, które pamięta z lektury swojej młodości, przeżywa dawno zapomniane wzruszenia i... zaczyna kochać ten piękny kraj i krajobraz, którego nie zasłonią dymiące kominy, żarzące się neony i drgające siłą tysięcy volt maszyny-giganty.

Dawna, prawdziwa Ameryka, Ameryka Washingtona i wojny secesyjnej, żyje po dziś dzień w „National Parku“ i innych rezerwatach.

JGM.

Na lewo: Cowboy — bóg preryj.

Na prawo: Fragment autostrady w Zion National Park w stanie Utah.





Na prawo: Wymierający mieszkańcy szlaku skalnych olbrzymów.









Od lewej: Autobus z turystami mija przełęcz West Rim w Zion National Park. — Szczyt Great White Throne w południowem Utah. — Wspaniały wodospad w Yellowstone National Park. — Malowniczo położony basen pływacki w Zion National Park.

# NA SZLAKU SKALNYCH OLBRZYMÓW



Pasterz węgierski z t. zw. komondorem, pięknym okazem psa owczarskiego.

# Czworonożny przyjaciel csikosa

Bezpośredni od niedawna nasi sąsiedzi, Węgrzy, dzięki odrębności swego azjatyckiego pochodzenia, stanowią naród oryginalny i bajecznie kolorowy, zachowujący stare tradycje i stroje, które ukazane hurtem podczas święta narodowego w dniu św. Szczepana fascynują orgją barw, iście szampańskim cocktailem kolorów. Nie dość jednak pamiętać szamerowanych huzarów, śpiewać zawodzącym głosem pieśni cygańskie, słuchać kalmanowskich operetek, zajadać gulasz szegedyński i popijać wszystko węgrzynem, by przypisywać sobie znajomość tego jedynego w swoim rodzaju kraju naddunajskiego, w którym głównie dominuje przecież rolnictwo i wszystkie dziedziny życia z niem związane.

W ciepłej dolinie Dunaju i jego dopływów, osłoniętej od północy potężnym diademem Karpat, kwitnie nietylko nowoczesne rolnictwo i hodowla, ale zachowały się także niemałe resztki sławnej i opiewanej w pieśniach Puszty z węgierskimi cowboyami — czikosami i pierwotnem popielatopłowem bydłem o olbrzymich rogach, wygiętych w kształt staroświeckiej liry, podobnem do naszego podolskiego autochtonicznego pogłowia krowiego. Zachowała się też w wielkich jeszcze rozmiarach najpierwotniejsza gałąź hodowli pasterskiej z olbrzymiemi stadami i wiernymi ich czworonożnymi stróżami, dzielnymi pomocnikami pasterzy.

Psy węgierskie dla swojej wysokiej wartości użytkowej i imponującego wyglądu zdobyły sobie zasłużone uznanie w całym świecie. Aż trzech przedstawicieli posiada wśród nich prastary psi stan pasterski, gdyż nad powierzonemi psiej pieczy stadami czuwają zarówno komondor, jak puli i pumi, podczas gdy domostwa strzeże kuwasz. Oprócz nich węgierscy myśliwi szczycą się swoim żółtym wyżłem, który łączy w sobie wszechstronne zalety psa myśliwskiego. Umie on spełniać wszelkie psie zadania, nie ograniczając się do „wystawiania" i aportowania zwierzyny łownej.

Wszyscy ci czworonożni arystokraci, odznaczający się tasiemcowej długości spisem antenatów i wielce rosochatem drzewem genealogicznem, są zapisani w specjalnych almanachach, zwanych fachowo księgami rodowodowemi, a każdą z tych wytwornych i ekskluzywnych psich ras zajmuje się oddzielny związek hodowlany, zrzeszony zresztą w centrali związkowej, która w języku naszych przysłowiowych „bratanków" nazywa się Magyar Ebtenyésztők Országos Egyesülete.

O powstaniu ras węgierskich owczarków twierdzi legenda, że pochodzą one z krzyżówki wilków z psami domowemi. Podobno pewnego razu w zamierzchłych jeszcze czasach znaleźli pasterze cały miot młodych wilcząt i schwytawszy dziecięce bezbronne stworzenia zanieśli je do szałasu i poddali „próbie wody". Te zwierzątka, które wilczym sposobem chleptały wodę zostały usunięte, te zaś, które elegancką psią manierą zagarniały napój łyżeczkowato zagiętym językiem, ocalały, dzięki znajomości psiego savoir vivre'u i zostały przeznaczone do nauki stróżowania i następnie do krzyżówki oraz dalszej hodowli. Jest to zresztą tylko legenda, podobna do opowieści pewnego górala, który sprzedawszy pewnemu ceprowi polskiego owczarka podhalańskiego zapewnił go, że jest on najczystszym produktem krzyżówki wilka z owcą, co tenże potem wszem wobec z dumą rozgłaszał.

Wspólnemi zaletami węgierskich owczarków jest ambitna psia nieprzedajność i nieustępliwość. Każdy z nich to nietylko przysłowiowy „pies w służbie", ale nawet i poza służbą, którą pełnią z wyjątkową pilnością, dającą tem lepsze rezultaty, że pieskom tym nie poskąpiła natura wyjątkowej inteligencji. W nauce są chętne, pilne i pojętne, a nawet uniwersyteckie stopnie psa śledczego są częstemi trofeami ich psiej edukacji. Zwłaszcza największy z nich, komondor, wspaniały biały kudłacz o sznurowato poskręcanych kudłach, który wygląda jakby dał sobie zrobić wieczną ondulację, nadaje się specjalnie do wszelkiego rodzaju służb, odpowiadając poborowym wymaganiom wzrostu. Szczególnie te psy, które pracują na Puszcie są porośnięte długiemi, elżbietańskiemi lokami włosów, które niby sprężyny zwisają niemal do ziemi i mają wielką skłonność do pilśnienia i zbijania się w kołtuny. Na białem tle giną schowane w kudłatych włosach brązowe oczy i tylko na przodzie tej fascynującej żywej psiej zabawki lśni wilgotny, czarny dwudziurkowy guzik nosa.

Za najprzebieglejszego psiego franta i czworonożnego mędralę na świecie uważają Węgrzy małego puli, który jest psem do wszystkiego. Umie on równie dobrze opiekować się trzodą, jak i pilnować domu, czy pozostawionych rzeczy, a nawet dzięki swojej aparycji, może z wielkiem powodzeniem objąć posadę psa luksusowego. Bujna kudłatość jego rdzawo-czarnych, lub szpakowato-siwych włosów czyni go jakgdyby minjaturą 80-centymetrowego komondora i zarazem, wskutek przeciwieństwa kolorów jakby pomniejszonym negatywem tego dużego psa.

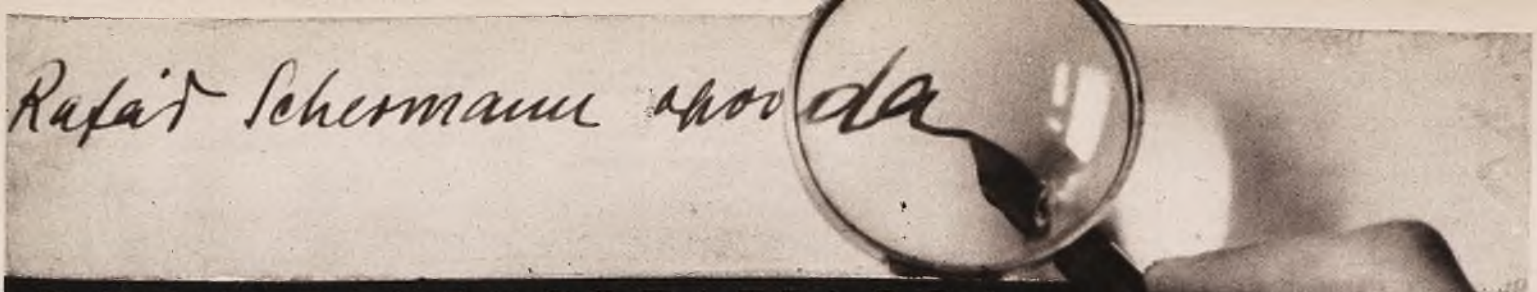
Najbliższym jego kuzynem jest pumi, piesek tego samego kolorytu, lecz o stojących wilczo uszach, który dla swej wyjątkowej bojowości służy nietylko w służbie ruchu wśród potulnych zwierząt, kierujących się owczym pędem, ale mimo swego 35—40-centymetrowego wzrostu podejmuje się z powodzeniem ciężkiej pracy przy wypasaniu stad słoninowych świń mangalickich, a nawet ogromnego bydła, którego lepsze okazy przekraczają nieraz wagę 1000 kg.

Psi faworyt — puli, sztandarowy pies węgierski, ozdoba wszystkich krajowych wystaw rolniczych, jest zażyłym towarzyszem węgierskich pasterzy jeszcze zprzed czasów ugro-fińskich wędrówek, pumi natomiast jest już produktem o wiele późniejszej krzyżówki puli z małym szpicem pomorskim, czworonożnym tubylcem polskiego Pomorza od czasów przedhistorycznych. Gdy przed wielu laty sprowadzono z naszej nadmorskiej dzielnicy cienkorune morynosy dla uszlachetnienia wełny krajowych owiec przywieziono razem z niemi i te niezwykle czujne i zapalczywe pieski, które dawszy w spadku swojemu potomstwu sztywno stojące uszy, przyczyniły się do wytworzenia nowej rasy psów węgierskich. Takie szczekające czupurki ze śmieszną powagą zapędzają do okólników ponad tysiąckilowe rogate kolosy, nie widząc w jaskrawo różnych proporcjach żadnej przeszkody, ani śmieszności.

Najbliższym krewniakiem naszego owczarka podhalańskiego jest bliźniaczo do niego podobny kuwasz, który na Węgrzech jest psem wioskowym, pilnującym jedynie domostwa i domowego dobytku. Jest on wobec istnienia aż trzech ras pasterskich zwolniony od poboru do służby strażniczej przy owcach i tem się też różni od naszego, również śnieżnego kudłacza, który odbywa zarówno swój letni „stage" na hali, jak i psią służbę przy domu, a nawet ostatnio zaawansował do służby śledczej w policji i równocześnie uzyskuje pierwsze miejsca w konkursach psiej piękności. Kuwasz jest biały, tak samo jak komondor i polski owczarz podhalański i jedynie czerń nosa odcina się ostro od śnieżnego tła.

Ta wspaniała czwórka psów węgierskich zdobyła sobie zasłużoną sławę na całym świecie, a szczególnie wielką sympatją cieszą się „maleńkie, ale ważeńkie" puli, których ekspansja sięga nawet poza ocean. Te żywe okazy rozkwitu rolnictwa węgierskiego dają dobre świadectwo umiejętności hodowlanej i umiłowaniu tradycji przez naszych południowych sąsiadów, graniczących z nami o karpacką miedzę.

**Dr. Mieczysław Cena.**



## Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA



### AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

W roku 1929 wydarzył się w Krakowie niezwykle ciekawy wypadek ekspertyzy psychografologicznej, przepowiadającej wynik choroby. Gdy w roku tym, jak zwykle powróciłem do Krakowa z zagranicy by odwiedzić moją rodzinę, zjawił się u mnie w Grand Hotelu pewien pan z swą siostrą, którego żona od wielu miesięcy leżała chora, by zasięgnąć mej rady. Oboje prosili mnie abym odwiedził chorą. — Nie wiemy naprawdę co mamy z nią zrobić! — oświadczyli mi. Ja jednak odrzuciłem tę propozycję, wskazując na to, że nie jestem lekarzem, ale po długich na ten temat debatach zgodziłem się na wizytę, stawiając jednak warunek, aby również prowadzący leczenie lekarz był przy mej wizycie obecny.

Po południu zakomunikował mi p. W. telefonicznie, że mówił z lekarzem i że ten nietylko niema nic przeciwko mej wizycie, ale chętnie omówi ze mną chorobę pacjentki. Wieczorem tegoż dnia udałem się z p. W. i jego siostrą do ich mieszkania, gdzie zastałem dwóch lekarzy, z którymi zanim jeszcze zobaczyłem pacjentkę począłem dyskutować na temat choroby. Gdy poprosiłem o próbkę pisma chorej, siostra p. W. przyniosła mi ją z drugiego pokoju w postaci dwóch słów nakreślonych artamentem: „Kochana Żaniu". Pismo to wywarło na mnie silne wrażenie, gdyż wiedziałem teraz, że nie można tu już w niczem pomóc: życie tej osoby było na wyczerpaniu. Nie powiedziałem jednak nic o tem memu otoczeniu, aby wchodząc do pokoju chorej lekarze lub rodzina nie zdradzili swym wyrazem twarzy jej właściwego położenia.

— Idźmy do chorej! — rzekłem w pewnej chwili, ale zaraz zastanowiłem się jak miałem przedstawić jej wypadek, aby nie pozbawić chorej reszty nadziei. Starałem się więc ją uspokoić i dodać otuchy, twierdząc, że ma jeszcze dosyć sił żywotnych, aby zwalczyć chorobę.

— Musi pani zacisnąć zęby i nie poddawać się chorobie — rzekłem do niej w pewnej chwili. Wprawdzie potrwa to jeszcze dosyć długo, ale pani wyjdzie z tej choroby zupełnie zdrowa — pocieszałem ją jak mogłem.

Chora odetchnęła z ulgą: uczyniłem jej memi słowami wielką przyjemność, która miała rozjaśnić jej ostatnie godziny życia. Opowiedziałem jej jeszcze kilka wypadków, w których ciężko chorzy ludzie wyzdrowieli w ostatniej zdawałoby się chwili, a ona z lubością przysłuchiwała się moim słowom. Chora wpadła w lepszy humor i zaczęła mi opowiadać o podobnych wypadkach z własnej obserwacji.

— Dodał mi pan otuchy — oświadczyła na pożegnanie. Postaram się nad sobą zapanować by ułatwić moje wyzdrowienie.

Aż na schody odprowadziła mnie rodzina chorej oraz dwaj lekarze, z których jeden prosił mnie abym następnego dnia powrócił o godzinie 11 w południe. Miało się wtedy odbyć konsyljum i ustalić, którego z sławnych lekarzy należałoby sprowadzić z Wiednia. Słysząc te słowa wyjąłem z kieszeni zegarek i rzekłem:

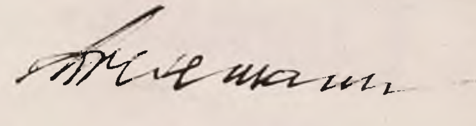
— Nie śmiem wypowiedzieć tego co widziałem, ale sądząc z pisma chora nie przeżyje jutrzejszego południa. Koło godziny pierwszej w południe nie będzie już żyć. — Twierdzenie moje spełniło się niestety. Następnego dnia chora umarła 10 minut przed godziną pierwszą.

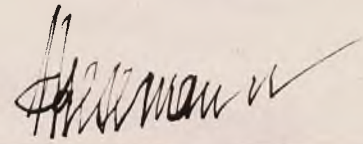
Posiadam w moich papierach list kuzynki chorej opisujący wydarzenia z ostatniego dnia jej życia.

Pisze ona: „Moja szwagierka p. B. W. zamieszkała w Krakowie na ul. Stradom 27, leżała wtedy od 6 tygodni w łóżku. Szwagier mój zwrócił się wtedy do pana, prosząc Go, aby Pan odwiedził jego chorą żonę i zaopinjował czy wyzdrowieje. Pamiętam, że wyraził pan wtedy zastrzeżenie, żądając aby podczas pańskiej wizyty był również obecny lekarz. Gdy pan nas odwiedził dałam szwagierce kawałek papieru na którym nakreśliła słowa: „Kochana Żaniu". Następnie wszedł pan w towarzystwie lekarza do pokoju chorej, pocieszył ją mówiąc, że wkrótce wyzdrowieje, co zresztą podziałało na nią bardzo dobrze. Gdy pan nas opuszczał, odprowadziliśmy pana aż na schody i wtedy to wyraził się pan, że w chorej znajduje się zaledwie tyle siły życiowej, aby mogła przeżyć do południa następnego dnia. Wtedy też o 11 godzinie odbyło się konsyljum, na którem postanowiono sprowadzić z Wiednia pewnego znanego lekarza. Niestety nie można było tego wykonać, gdyż moja szwagierka umarła, dokładnie tak jak pan to przewidział, w godzinach południowych tegoż dnia.

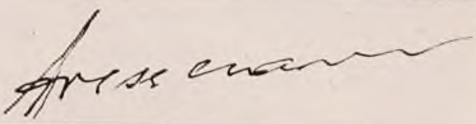
Szarlotta Mand..."

Psychografologja nie dała w tym wypadku przeczuć śmierci, lecz wykazała stan chorej w sposób tak jasny i dobitny, że można było twierdzić, iż pozostawało jej jeszcze jedynie 16 godzin życia. Chętnie byłbym się wtedy omylił, niestety jednak natura idzie swoim naturalnym biegiem i nie da się od niego odciągnąć.





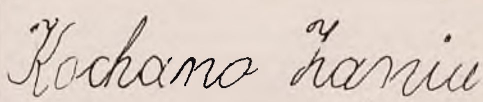
Podpisy Stresemanna z czasów jego największych sukcesów politycznych.



Podpis Stresemanna jaki umieścił na dokumencie krótko przed swą śmiercią.

Poniżej: Słynna tancerka Argentina, która uległa atakowi serca. Fot. d'Ora.





Nagłówek listu pani B. W.

Dnia 29 czerwca 1936 roku odwiedziła mnie w Paryżu znana artystka-fotografka p. d'Odra. Przez chwilę mówiliśmy o różnych, obojętnych rzeczach, aż p. d'Odra położyła przedemną kartkę zapisaną nic nie znaczącemi słowami. Na kartce brak było podpisu i nic nie wskazywało na autora kartki. Przyjrzałem się pismu i zapytałem mego gościa:

— Czy osoba, która pisała te słowa jest dla pani kimś bliskim? — Pytanie to wypływało z tego powodu, że nie chciałem komuś z bliskich odkrywać przykrych rzeczy. Upewniwszy się, że osoba, która pisała słowa na kartce, nie jest spokrewniona z p. d'Odra, przystąpiłem do analizy pisma.

— Pismo to jest pismem pięknej, młodej kobiety. Jest ona bardzo utalentowaną i niezwykle ciekawą osobą. Pracę swą wykonuje rękami, twarzą, a przedewszystkiem nogami. Jest aktorką; nie, jest zapewne tancerką. Wybrała ona tę karjerę z namiętności do tańca i jest dzisiaj bardzo sławna. Mimo to widzę, że koniec jej życia będzie tragiczny: ta młoda, pełna życia kobieta, spali się we własnym ogniu. Jest ona ciężko chora, nie chce jednak wyrzec się tańca, który ją przemęcza. Potrzebuje dobrego lekarza, któryby się zajął jej kuracją, na pewien czas przynajmniej odwiódł ją od występów, poddając w sanatorjum dokładnemu leczeniu. Trzeba ją jednak łagodnie przygotować do tego wyprzągnięcia w pracy, gdyż w swym fanatyzmie dla tańca nie będzie chciała o tem słyszeć. Widzę wyraźnie, że chore jej serce nie wytrzyma dłużej jak kilka tygodni. Bez ostrzeżenia zapuka śmierć do jej drzwi i z uśmiechem na ustach umrze ta piękna kobieta. Oby Bóg ją uratował, ale wątpię w ratunek, gdyż nikt nie będzie w stanie odwieźć ją od wykonywania jej zawodu, tem więcej, że nie da się ona przekonać, iż jest tak ciężko chora.




Pani d'Odra słuchała moich słów w ponurem skupieniu: okazało się, że chodzi tutaj o sławną tancerkę Argentinę. Z przerażeniem słuchała moich słów o śmierci wielkiej artystki, przyrzekła też zmobilizować wszystkich przyjaciół tancerki, aby ją odwieźć od dalszych występów. Ale już wtedy wiedziałem, że śmierć nastąpi w krótkim czasie.

Gdy w kilka tygodni później bawiłem jak rokrocznie w Karlsbadzie, dosięgnęła mnie smutna wiadomość: wracając autem do swej willi w Bayonne, umarła Argentina w chwili, gdy w najlepszym nastroju wysiadała przed domem z auta wskutek ataku serca. Zmarła zachowała na twarzy uśmiech, który charakteryzował ją przez całe życie.

Znany dziennikarz René Kraus opowiada w „Neues Wiener Journal" z dnia 6-go października 1929 o następującym ciekawym wypadku psychografologicznym: „Do wydarzenia, które zamierzam tym razem opowiedzieć, możnaby łatwo nawiązać transcendentalne rozważania, a ten kto przeżył je, łatwo może formułować pewne zastrzeżenia co do ludzkiego „zdrowego rozsądku" i snuć przypuszczenia co do życia za grobem. Nie będę jednak wysnuwał żadnych dalszych wniosków, ograniczając się do opowiedzenia tego, co przeżyłem z Rafałem Schermannem w pewnej berlińskiej kawiarni, gdy na 48 godzin naprzód przepowiedział mi śmierć ministra Stressemanna.

Każdy z nas przypomina sobie zapewne, jak gwałtownie nastąpiła śmierć ministra, mimo, że od roku byliśmy przygotowani na najgorsze, a dr Schulmann, który stale towarzyszył ministrowi, nie wiedział, co to jest jedna spokojna noc lub jedna spokojna godzina, to jednak śmierć Stresemanna przyszła zupełnie nieoczekiwanie. Nic nie znacząca grypa, którą przeszedł Stresemann, skończyła się dobrze, nie pozostawiając śladów. Wprawdzie zabronili mu lekarze opuszczania swej willi podczas słotnej pogody, ale człowiek, który przez całe życie walczył z własnym organizmem, nie wiedział, co to znaczy stosować się do wskazówek lekarskich. Minister był w dobrym humorze, pełen energji, a również silne ataki serca, jakie dawniej przechodził, przeszły tym razem zupełnie, to też obawy otoczenia o ponowienie się choroby powoli malały do zera.

Żył wtedy w Berlinie jeden jedyny człowiek, który mógłby był ostrzec ministra, ale jako stojący poza kręgiem jego znajomych, nie miał do niego dostępu i nie miał sposobności pomówienia z nim w cztery oczy. Tym człowiekiem był Rafał Schermann.

Wyszedłem właśnie z parlamentu, gdzie mogłem z bliska obserwować bladą, zmęczoną twarz Stresemanna. W przejściu usłyszałem od niego kilka miłych słów, które podczas tych gorących dni kryzysu parlamentarnego, rozwiązanego właśnie dzięki niemu, brzmiały niemal wesoło. Znalazłszy się za chwilę w kawiarni, spotkałem Schermanna. Człowiek ten jest wiecznym optymistą i wie, że jedynie optymizm czyni życie znośnem. Tym razem jednak był blady i jakiś wyczerpany. Odgaduje on moje myśli, zanim je wypowiadam. Nie zdziwiło mnie to jednak, bo byłem do tego przyzwyczajony.

— Stan Stresemanna jest zły... — zaczyna Schermann.

— Stan Stresemanna polepszył się i nie budzi obaw... — odpowiadam. — Czuje się znacznie lepiej. Czy czytał pan lekarskie biuletyny o jego zdrowiu? Przeszedł małą grypę, jest obecnie równie zdolny do pracy jak dawniej, właśnie mówiłem z nim w parlamencie...

Schermann wyciąga rękę w moim kierunku, jakby chcąc przez cielesne dotknięcie wzmocnić ważkość swoich słów. — Niech pan posłucha... Teraz wszystko się skończy...

— Nic podobnego! — odpowiadam mu, chcąc skończyć tę przykrą rozmowę, która mnie silnie denerwuje.

— Ależ tak! — powtarza Schermann cichym głosem. — Czytałem o chorobie i o wyzdrowieniu, ale obejrzałem sobie też jego pismo. Przedłożono mi je przed godziną. Przestraszyłem się, gdyż widziałem, że człowiek ten zbliża się ku końcowi swego życia. Mógłby wprawdzie pożyć jeszcze kilka lat, ale fanatyzm pracy ukróca jego życie. Mam wrażenie, jakby ktoś zabijał się przez swoją „idée fixe", jakby szybkobiegacz padał rażony atakiem serca tuż przed metą. Zdarza się nieraz, że ktoś właśnie w ostatnich latach, czy miesiącach swego życia, rozwija niezwykle silną działalność, jakby chcąc możliwie dużo energji zmieścić w czasie, który wolno mu jeszcze przeżyć.

Schermann zamyślił się, a po chwili zapytuje:

— Czy przypuszcza pan, żeby można wpłynąć na ministra, aby natychmiast rzucił swoją pracę? To musi się chyba dać zrobić! Niema ani chwili do stracenia!

— Czy pan myśli o tych głupich listach z pogróżkami? — pytam Schermanna.

Schermann potrząsa głową: widzę, że jest zniechęcony do mnie, widząc u mnie brak zrozumienia jego myśli.

— Ależ nie o to chodzi. To groziło niebezpieczeństwem, ale nie teraz. Na miłość Boską, czyż nikt nie orjentuje się w tem, że ostateczne załamanie się nastąpi lada chwilę?

— Przecież Stresemann czuje się już daleko lepiej! — staram się uspokoić Schermanna.

— Jeżeli jeszcze raz odwiedzi parlament i zasiądzie w swym gabinecie, w ministerstwie, przy biurku zwali się z krzesła. Przecież oglądałem co dopiero jego pismo! — jakby z rozpaczą przypomina Schermann swój dar jasnowidzenia, chcąc mnie przekonać.

— Możeby się dało pomówić z jego żoną? — pyta Schermann. — Widać jak myśl jego pracuje w kierunku nawiązania z ministrem właściwego kontaktu. Kiedyś przedłożono mu w większem gronie towarzyskiem próbkę pisma, która pochodziła, jak się później dowiedział, od Stresemanna. Możeby się dało nawiązać do tego epizodu?

Artykuł René Krausa kończy się uwagą: „Schermann za mało znał Stresemanna, aby mógł sobie zdać sprawę z bezowocności interwencji w sprawie jego przepracowania, gdyż minister był poprostu urzeczony swoją pracą. Pomimo ostrzeżenia psychografologów udał się Stresemann do Reichstagu i zasiadł znów w swym gabinecie w ministerstwie spraw zagranicznych. Było to jednak po raz ostatni".

Łatwo sobie wyobrazić, jaki opanował mnie nastrój, gdy pisma, dwa dni po wyżej opisanych faktach, przyniosły wiadomość o śmierci Stresemanna. Byłem przecież jedynym człowiekiem, sławy lekarskie, które po pierwszym ataku pytano o poradę w chorobie Stresemanna, były zdania, że dla ministra nie zachodzi bynajmniej bezpośrednie niebezpieczeństwo, którego wiadomość ta nie zadziwiła.

Poniżej przytoczę list René Krausa, napisany spontanicznie po otrzymaniu wiadomości o śmierci ministra:

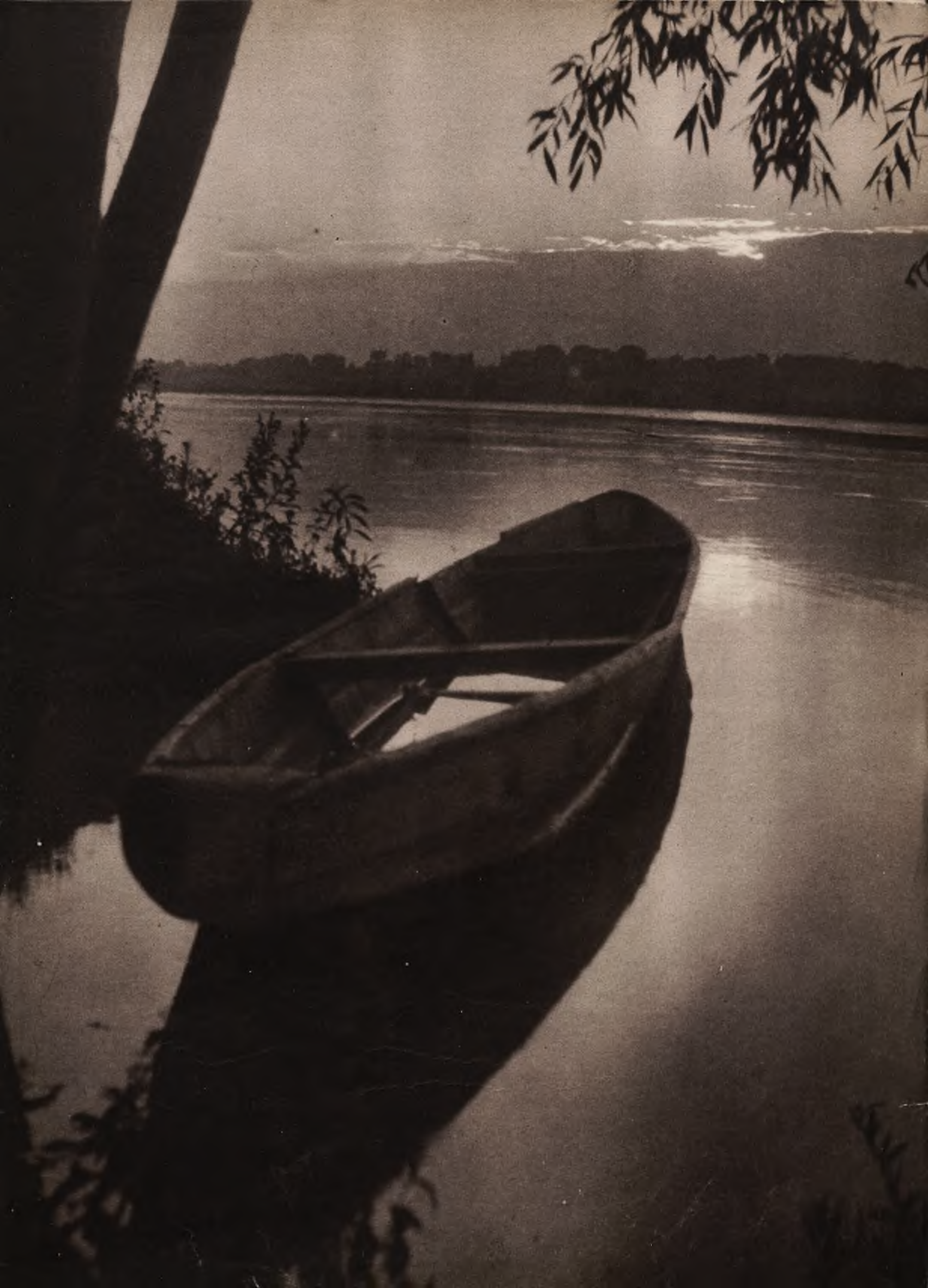
„Berlin, dnia 4 marca 1929 r.

Szanowny i Kochany Panie Schermann! To, co się stało, jest rzeczą straszną, tem straszniejszą, że czterdzieści osiem godzin przedtem przepowiedział mi Pan ten wypadek, a ja nie chciałem Panu wierzyć. Pod

*Dokończenie na str. 31-ej.*



WIECZÓR NAD RZEKĄ
Fot. E. HARTWIG

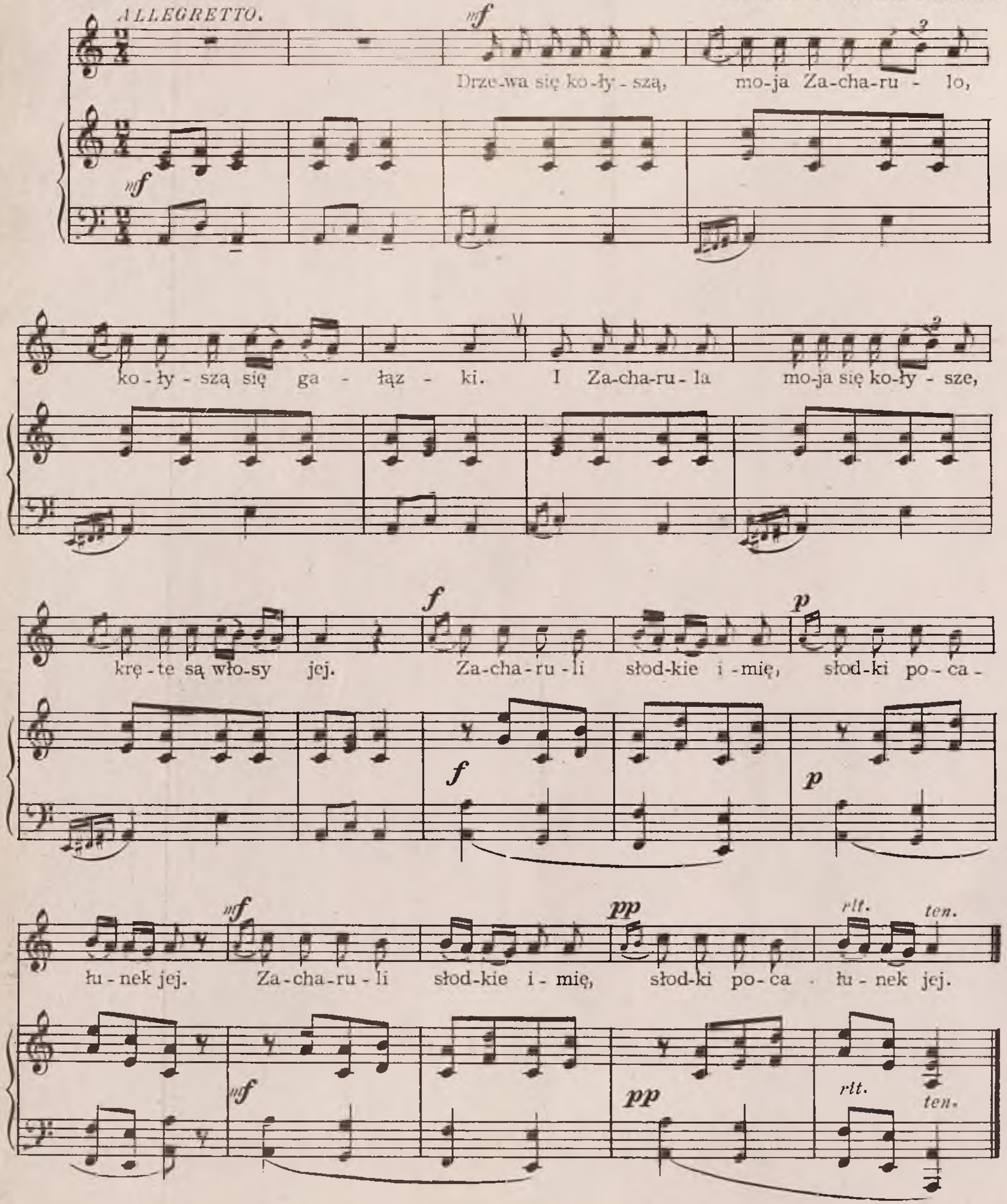


Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA":

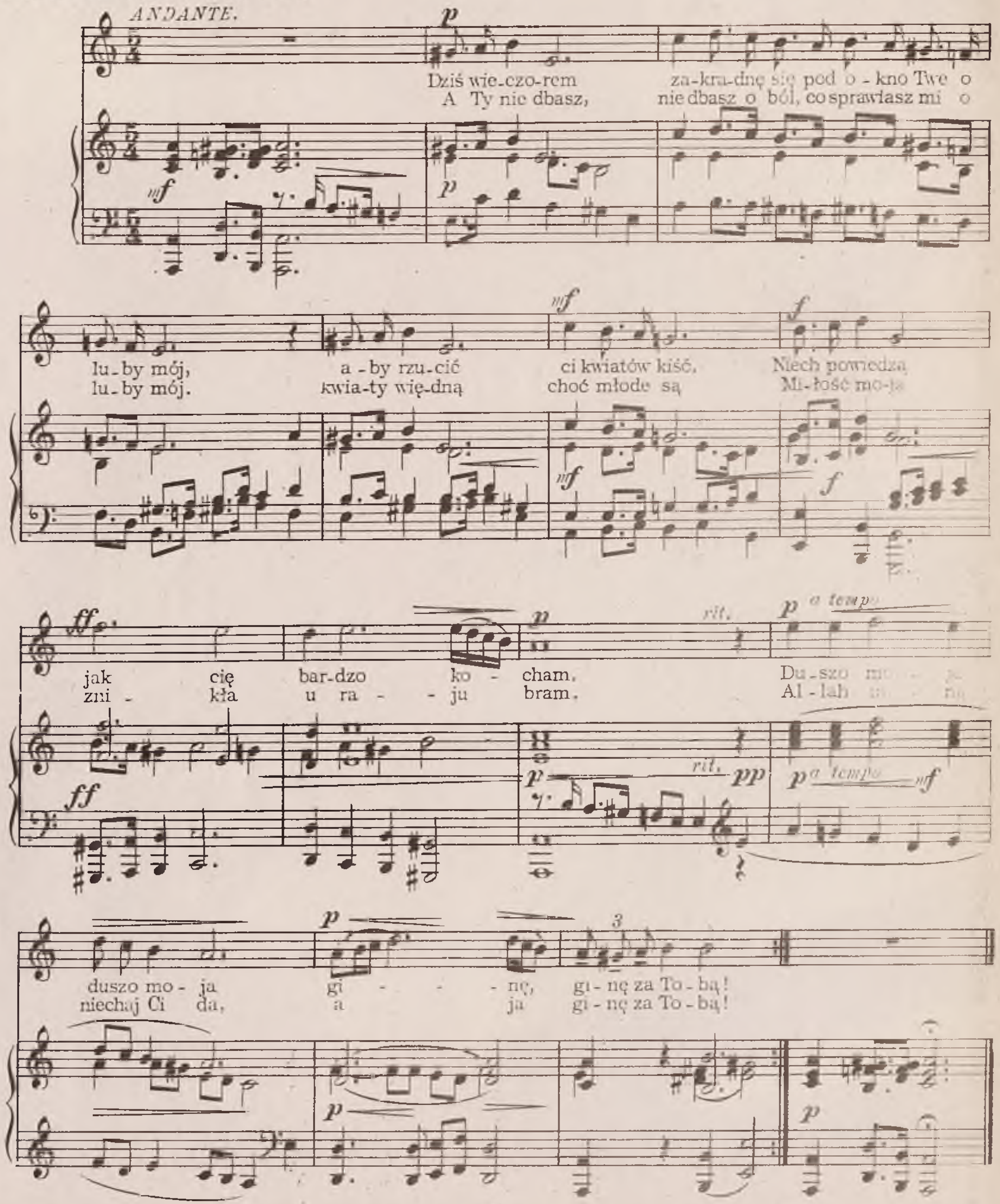
# Dwie pieśni

MUZYKA I SŁOWA POLSKIE WŁODZIMIERZA POŹNIAKA

## 1. DRZEWA SIĘ KOŁYSZĄ...
(PIEŚŃ LUDOWA NOWOGRECKA)




## 2. DZIŚ WIECZOREM...
(PIEŚŃ LUDOWA SERBSKA)



# NAD MORZEM

HELENA KONDECKA — SZKIC

— Agna, Agna, a wstawajże leniuchu.

Agnieszka podniosła ciężką głowę z nad poduszki. Och, niełatwo było zrywać się tak wcześnie, gdy same powieki opadały na oczy, a w całem ciele czuła jakiś ciężar i bezwład, z gospodynią jednak nie było żartów, to też prędko przezwyciężyła ogarniającą ją nową falę senności i wstała.

Z kuchni dochodził wrzaskliwy głos gospodyni.

— Patrzcie ją, księżniczka, wylegiwałaby się tylko po całych dniach do góry brzuchem, darmozjad.

Agnieszka słuchała tych słów z twarzą złą i zaciętą. Zwykle pokornie i cicho znosiła pomstowania gospodyni, dziś jednak po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że przecież haruje po całych dniach i podczas gdy dzieciaki gospodyni biegają po polach i bawią się, ona musi pracować za wszystkich — ona darmozjad.

Agnieszka ponuremi, o wyrazie dojrzałego człowieka oczami spojrzała w swoje krótkie, ośmioletnie życie.

Nie było ono łatwe, o nie. Od śmierci matki poznała co to jest nędza i poniewierka, co to znaczy być na łasce obcych ludzi, pracować ponad siły, znosić dokuczania i bicie.

Dotychczas Agnieszka znosiła wszystko, nie myśląc, nie wyobrażając sobie, że może być inaczej, że i do niej mógłby ktoś zagadać po ludzku, użalić się — dopiero pani...

Pani, na to wspomnienie serce dziewczynki poczęło bić żywiej, ta piękna, smutna pani, która tak zmieniła całe życie Agnieszki.

„Pani" dopiero niedawno przyjechała nad morze i zamieszkała w ich rybackiej chacie. Agnieszka pamiętała wprost przerażoną twarz gospodyni, gdy pani powiedziała, że wynajmie u nich pokój, nieraz już coprawda zatrzymywali się u nich letnicy, ale pani to było przecież coś zupełnie innego.

Z początku nie mówiło się w domu i po sąsiadkach o niczem innem tylko o pani. — Jak pięknie ubrana, jaka smutna i cicha, ale stopniowo poczęto się oswajać z samotnym gościem, obojętnieć, tembardziej, że pani zdawała się nie zwracać uwagi na nikogo i na nic, a nawet z gospodynią nie rozmawiała zupełnie, pytała tylko codzień, czy nie było do niej listu.

Listu jednak nie było i oczy pani stawały się coraz smutniejsze.

Wstawała wcześnie i zaraz wychodziła z domu. Chodziła na spacery, albo też siedziała sobie nad brzegiem morza długo, długo.

I to właśnie w miejscu wybranem i ulubionem przez Agnieszkę na wysokiej, urwistej skarpie, u stóp której rozbijały się z rykiem i rozlewały w piany wzburzone fale morza.

To morze, zmienne, tajemnicze i potężne było jedyną rzeczą, którą Agnieszka kochała. Ono jedno rozumiało wszystko, ono jedno potrafiło jednostajnym bełkotem uciszyć smutek, który przychodził niewiadomo skąd i kiedy, gadało coś tam do Agnieszki po swojemu, tłumaczyło — cóż dziwnego, że choć potem gospodyni piekliła się na Agnieszkę, że wylatuje z domu i zaniedbuje robotę, wolała nieraz oberwać porządne szturchańce, aby tylko być blisko powiernika i przyjaciela.

Któregoś to wieczoru na swojej skarpie spotkała panią. Widywała ją coprawda nieraz w ich chacie, zawsze jednak spojrzenie pani tak dziwnie obojętnie prześlizgiwało się po niej, jak zresztą po wszystkich, a sama Agnieszka nie miała odwagi podejść do niej.

I dopiero tam, nad brzegiem morza, zaczęła się ich przyjaźń.

Okazało się, że pani tak samo lubi morze, jak i Agnieszka, że i do niej morze coś mówi, o coś zapytuje.

Pani i morze, morze i pani. Świat Agnieszki, miłość Agnieszki. Czyż pani nie była tak smutna i tajemnicza jak morze, czyż morze nie było tak piękne i dobre jak pani.

Oj, obrywała potem Agnieszka za te spacery, obrywała, ale nagle i to się zmieniło.

Któregoś dnia posiniaczona i zapuchnięta jej twarz przeraziła panią.

— Co ci się stało?

— Ii, nic — rzekła pogodnie Agnieszka.

Pani jednak tak zaczęła nalegać i wypytywać, że niewiedzieć kiedy i jak Agnieszka opowiedziała jej o wszystkiem — jak to gospodyni gniewa się za to latanie, i jakimi sposobami oducza od niego Agnieszkę.

Pani wysłuchała wszystkiego i nie mówiła nic.

Ale tego samego dnia długo o czemś rozmawiała z gospodynią. Agnieszka siedziała przed izbą, obierając ziemniaki i nie słyszała nic, ale po tej rozmowie gospodyni wyszła z pokoju cała czerwona, chowając coś pilnie za pazuchą.

Od tej chwili Agnieszce wolno było chodzić z panią ile tylko chciała, a o biciu nie było już mowy.

Agnieszkę nawet nie dziwiła ta zmiana. Dla niej pani była czarodziejką, która przynosiła ze sobą tylko wszystko dobre i piękne, czyż mogło być inaczej.

Teraz zaczęły się piękne dni.

Chodziły razem na dalekie wycieczki, czasem pani zabierała ją na przejażdżki motorówką w głąb morza, czasem szły do pobliskiego miasteczka, najczęściej jednak siedziały na swojej skarpie.

Zazdrość dzieciaków, niepojęta dobroć gospodyni, piękne prezenty, jakie Agnieszka dostawała, wszystko to nie liczyło się, nie miało znaczenia, nic nie miało znaczenia poza panią i jej opowiadaniami.

Bo pani umiała też opowiadać dziwne i piękne historje o morzu, których Agnieszka słuchała, z zapartym oddechem. Wszystkie wydały jej się nagle dziwnie bliskie i znane. Ten śpiew syren naprzykład, czyż nie słyszała go kiedyś podczas szalejącej burzy, czyż nie widziała kiedyś najwyraźniej igrającej wśród fal samej syreny.

Gdzieś daleko pod wodą znajdują się czarodziejskie pałace pełne pereł, drogich kamieni i dziwów morskich. Ileż to razy śniła Agnieszka, że chodzą tam z panią, trzymając się za ręce.

Bo pani powiedziała, że już teraz będą razem z Agnieszką, że zabierze ją stąd do siebie już na zawsze.

I to była najpiękniejsza z bajek Agnieszki.

— — — — — — — —

Agnieszka wraca z panią z dalekiej wycieczki do domu. Obie pełne są zadumy i ciszy, idącej ku nim z blasków zachodzącego słońca, z dalekiego szumu morza.

Na spotkanie wybiega gospodyni. Na jej brzydkiej szerokiej twarzy maluje się uśmiech, w ręku trzyma list.

Twarz pani stała się nagle bardzo blada, wzięła list i skierowała się do swego pokoju.

Agnieszce zrobiło się jakoś straszno. Zdawało jej się nagle, że z tym listem weszło razem z panią do pokoju coś ciężkiego, złowrogiego, że oto z tem czemś jest teraz sama, samotna.

Usiadła pod drzwiami pani pełna niepojętego niepokoju i lęku — wstrzymała oddech w piersiach i słuchała, słuchała — ale w pokoju pani panowała zupełna cisza.

— — — — — — — —

Agnieszkę obudziły rano jakieś głosy i szepty, poczęła nasłuchiwać.

— Musiała ją odrazu fala zalać — mówiła gospodyni.

— Ano pewnie. Widzieliście ją?

— Widziałam, strach spojrzeć — ot dola, ot życie ludzkie. A wiecie, że jeszcze wczoraj mówiła mi, że zabierze Agnę do siebie na zawsze.

— Patrzcie-no ludzie.

— Przewróciła też dziewusze w głowie, bo przewróciła, ale już sobie z nią poradzę.

— A gdzie leży?

— Nad brzegiem, czekają na policję.

Agnieszce pociemniało przed oczyma, o czem to mówią, co to wszystko znaczy?

Jednym skokiem znalazła się w pokoju pani, wyglądał jakby ktoś zostawił wszystko i w gorączkowym pośpiechu wyszedł.

Agnieszka wybiegła z domu i popędziła z całych sił nad morze.

Dużo ludzi stało nad brzegiem, około urwistej szkarpy, o czemś rozmawiali, nad czemś nachylali się.

Agnieszka roztrąciła ich i podeszła bliżej. Na piasku leży... och nie, to przecież nie pani ten straszny, opuchły trup o wytrzeszczonych przerażeniem oczach.

Agnieszka usiadła u stóp pani i patrzała na nią nieprzytomnemi oczami.

Jej pani.

Nie zabrała jej, odeszła sama, a powiedziała, że już zawsze...

Podniosła się ciężko i powlokła brzegiem morza, mamrocząc coś do siebie.

Fale morskie podpełzały do niej, coś tłumaczyły, opowiadały. Agnieszka pogroziła im pięścią.

To morze, które teraz łasi się u jej stóp, zabiło jej panią.

Niema już pani, niema ślicznej, dobrej pani. Nad brzegiem leży oślizgły, straszny trup nieznanej topielicy.

Niema już morza, wiernego przyjaciela — jest zły, okrutny morderca.

Opuszczona, zdradzona, idzie gdzieś przed siebie Agnieszka, najbardziej samotne i nieszczęśliwe dziecko na świecie.

# MĄDRY AMERYKANIN

HASSE ZETTERSTROEM

PRZEKŁAD HELENY HELLERÓWNY

Pewnego dnia moja żona powiedziała mi:

— Do mieszkania pod nami wprowadzili się nowi lokatorzy.

— Jak wyglądają?

— Nie nadzwyczajnie. Ona jest gruba. On pospolity.

— Mają fortepian?

— Tak.

— Gramofon?

— Też.

— Każ przenieść jeszcze jeden dywan do mojego pokoju i zawiadom ich oględnie przez służącą, że znamy na pamięć wszystkie przepisy, odnoszące się do ochrony przed hałasem.

Rodzina, mieszkająca pod nami, wcale mi nie przeszkadzała. Grywali na fortepianie, lecz jedynie tu i ówdzie, żebym wiedział, że mogą sobie pozwolić na fortepian. Gramofon był zdaje się niedysponowany. Pani była istotnie tęga, ale pozatem dość przystojna. Mąż był szczuplejszy i wracał do domu późno w nocy. Wówczas kłócili się. Ale to zdarza się w wielu rodzinach. Słyszałem wszystko, co sobie mówili i w ich rozmowie nie zauważyłem większych różnic między tym, co mi się obiło o uszy w czasach, w których w ich mieszkaniu przebywały inne małżeństwa.

Ale pewnej nocy zaszło coś odmiennego. Położyłem się dość wcześnie — co zresztą jest moim zwyczajem — i nagle zbudził mnie jakiś szelest. Ktoś pukał. Wyskoczyłem z łóżka i otworzyłem drzwi. Nie było nikogo. Zacząłem nadsłuchiwać. Pukanie rozpoczęło się na nowo. Ustaliłem, że pochodzi ono z mieszkania podemną. Ktoś pukał w mój sufit. Zaczęło mnie to bawić i interesować. Bez namysłu odpowiedziałem, pukając w podłogę. Natychmiast usłyszałem kobiecy głos, mówiący zupełnie wyraźnie: „Proszę przyjść do mnie na dół!"

Stałem na środku pokoju w cieniutkiej pidżamie. Zrobiło mi się zimno, więc zarzuciłem coś szybko na siebie. W domu panowała cisza; moja rodzina spała. Nie zdążyłem się nawet jeszcze ubrać, gdy głos odezwał się znowu: „Kiedy pan przyjdzie?"

— Zaraz — odparłem, poczem wkradłem się do przedpokoju, otworzyłem drzwi i zeszedłem na piętro poniżej. Kobieta, która pukała, czekała w otwartych drzwiach wejściowych. Nie przywitaliśmy się; wszedłem w milczeniu do mieszkania. W jadalni świeciło się. Kobieta, ubrana tak, jakby tej nocy wogóle nie kładła się jeszcze do łóżka, poprosiła mnie, bym usiadł. Czyniąc to pozwoliłem sobie zauważyć, że ta nocna przygoda wydaje mi się dość dziwna, poczem zapytałem, czem mogę jej służyć.

— Idzie o to, aby pan zaczekał tutaj aż mój mąż przyjdzie. Nie mogę dłużej być sama. Czekam już na niego od czterech godzin. Nie zniosę tego czuwania noc w noc i wiecznego wyczekiwania!

— Małżonka pani wstrzymują może od powrotu do domu jakieś ważne sprawy — rzekłem. — Mnie się to niekiedy również zdarza...

— Znam te sprawy — przerwała młoda kobieta. Proszę, oto najnowsze dzienniki. Jeśli miałby pan ochotę kłaść pasjanse, to tu są karty. A może napiłby się pan wódki?

— Chcę wrócić na górę i położyć się, łaskawa pani — powiedziałem. — O tej porze zazwyczaj śpię już. Niezbyt to pięknie ze strony pani, że pani mnie zbudziła... Odchodzę...

— Chyba nie pozostawi pan kobiety samej w nocy?

— Trudno. Moja żona też jest sama.

— Ale ona śpi.

— Mam nadzieję, że tak.

W tejże chwili usłyszeliśmy, że ktoś wkłada klucz do drzwi wejściowych, oczywiście ostrożnie i cicho, jak przystoi mężowi, wracającemu w nocy do domu. Upłynęło parę sekund (zapewne zdejmował palto i kapelusz), poczem stanął w otwartych drzwiach jadalni. Mrużył oczy, gdyż światło go raziło i oddychał ciężko po wyjściu na trzy piętra. Widać było, że jest zdziwiony. Wreszcie rzekł: „Co ten człowiek robi tutaj o tak późnej porze, Rito?

— Pozwoli pan, iż wyjaśnię... — rzekłem.

— Nie do pana się zwracałem — przerwał mąż. — Oczekuję odpowiedzi od mej żony.

— Czułam się taka osamotniona, Gustawie — powiedziała Rita. — Czekałam na ciebie cztery godziny i tak się bałam, że mogło ci się przytrafić coś złego... Nie wiedziałam co począć, więc... więc zapukałam w sufit i poprosiłam tego pana, żeby zeszedł na dół. Nie mogłam dłużej być sama. Miałam go właśnie poczęstować whisky, gdy wszedłeś.

Gustaw postąpił kilka kroków naprzód i rzekł:

— Częstujesz obcych ludzi whisky, kiedy mnie niema!

— Pozwolą państwo, że pójdę na górę i położę się. Tak jestem śpiący... żaliłem się.

— Proszę! — zawołał Gust. w bynajmniej nie tak uprzejmym tonem, jakiego wymaga się od pana domu.

Poszedłem na górę, wślizgnąłem się do mieszkania i położyłem się do łóżka. Nadsłuchiwałem długo, nie mogąc zasnąć, lecz w mieszkaniu podemną zdawała się panować cisza.

— Co za sprytna kobietka — myślałem. — Chce zmusić męża, żeby wracał wcześnie do domu. Odtąd będzie wzorowym mężem. Z pewnością! I ja jej w tem dopomogłem. Byłem lekkomyślny... Żałuję, że zeszedłem na dół...

A potem zasnąłem.

Długi czas Gustaw wracał co wieczór wcześnie do domu. Słyszałem jak gawędzili i żartowali przed udaniem się na spoczynek. Są szczęśliwi — myślałem — i to twoje dzieło! Ale pewnej nocy — tak koło trzeciej — zbudził mnie znów jakiś szelest. Usiadłem w łóżku. Pukano w podłogę. Odpowiedziałem pukaniem i zaraz dał się słyszeć głos Rity: „Proszę przyjść do mnie na dół"!

Położyłem się na podłogę i odrzekłem: „Nie mogę, zwichnąłem sobie nogę. Niech pani przyjdzie do mnie!"

Zapanowała cisza. A potem Rita oznajmiła: „Idę".

Najpierw zapaliłem światło i ubrałem się. Następnie wślizgnąłem się do przedpokoju, otworzyłem drzwi i wpuściłem moją sąsiadkę.

— Proszę wejść cicho — powiedziałem. — Moja żona śpi.

Rita weszła i usiedliśmy naprzeciw siebie, zupełnie tak samo, jak u niej.

— Czy tej nocy znowu nie wrócił? — zapytałem.

— Tak, teraz znów zaczyna. Muszę mu dać nauczkę.

— Opowiem pani pewne zdarzenie, pani Rito, — powiedziałem. — Mam nadzieję, że zakończę tę historyjkę, zanim mąż pani wróci do domu i moja żona się przebudzi. Muszę to pani opowiedzieć, żeby między nami wszystko było jasne. Zatem proszę posłuchać.

— W Ameryce pewien człowiek został zawezwany do sądu, gdyż żona oskarżyła go o złamanie wiary małżeńskiej. Dowody były obciążające i sędziowie, mający wydać wyrok — byli to sami żonaci ludzie — mieli właśnie udać się na naradę, gdy oskarżony poprosił, ażeby mu zezwolono powiedzieć każdemu z sędziów coś na osobności, zapewniając, że informacja, jakiej udzieli, posiada dla sprawy bardzo doniosłe znaczenie. Przewodniczący udzielił owemu mężczyźnie zezwolenia, o które prosił i oskarżony szepnął coś szybko do ucha każdemu sędziemu przysięgłemu z osobna. Trybunał udał się na naradę i po chwili ów człowiek został uniewinniony.

— Co ten łajdak im powiedział? — zapytała pani Rita, która słuchała mego opowiadania z żywem zainteresowaniem.

— Nie zdradzę pani teraz tego — rzekłem. — Powiem to pani mężowi, którego kroki słychać już na schodach!!

Rita zerwała się i zmierzała ku drzwiom.

— Chodźmy — powiedziałem. — Trzeba go powitać...

Wziąłem ją pod rękę i przeprowadziłem przez przedpokój i schody. Klatka schodowa była oświetlona i w sieni stał Gustaw w kapeluszu na czubku głowy i z kluczem od mieszkania w ręku. Niesłychanie zdumiony spojrzał na swą żonę, opierającą się o poręcz schodów.

— Teraz, pani Rito, może się pani dowiedzieć, co ów Amerykanin podszepnął sędziom przysięgłym: „My, mężowie, musimy się popierać" — powiedział. Dobranoc!

Nazajutrz spotkałem Gustawa na ulicy. Ukłonił mi się uprzejmie i uśmiechnęliśmy się do siebie, jak to czynili niegdyś wróżbici, a obecnie małżonkowie. Rita doprawdy była bardzo gruba.

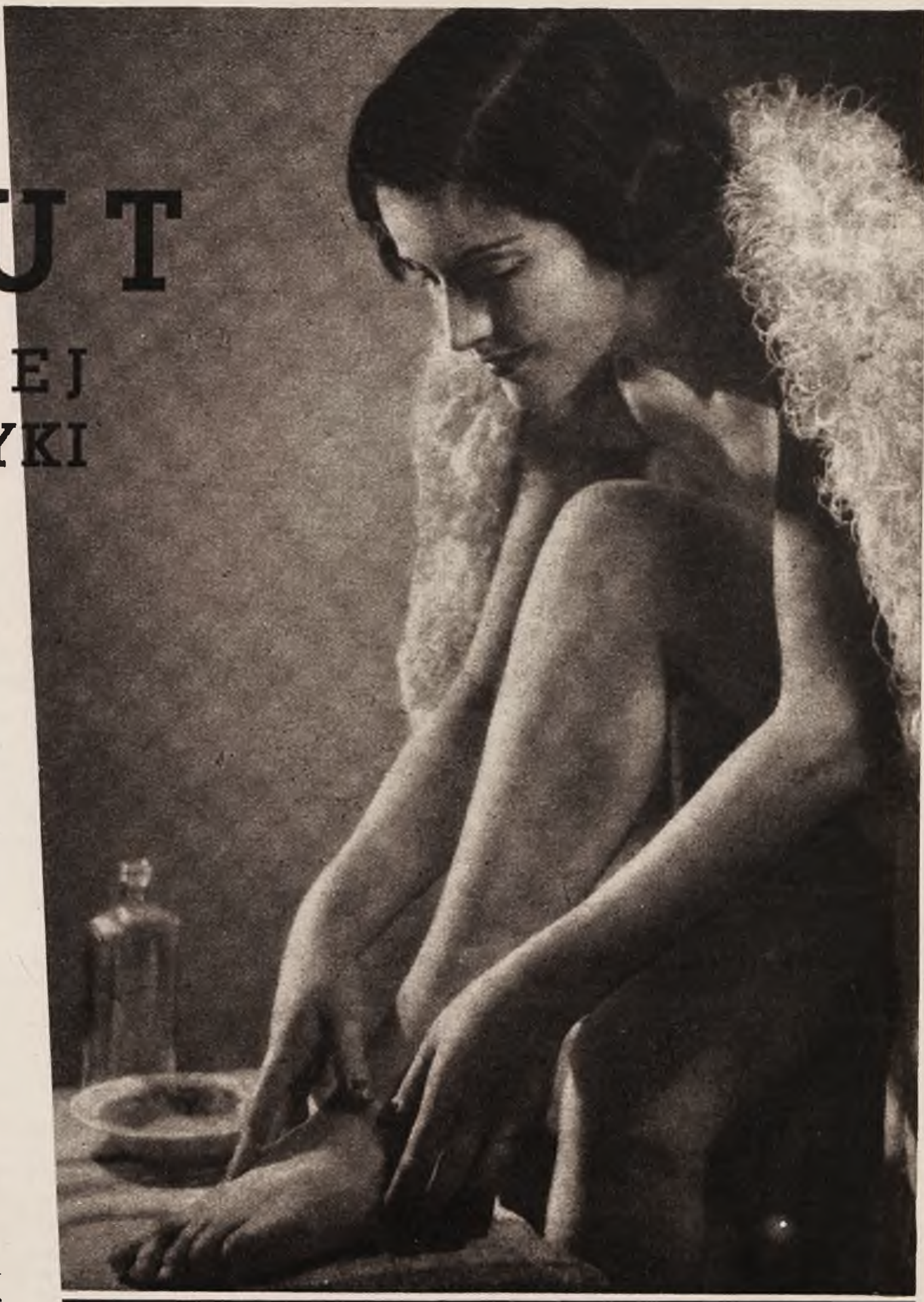
# OWOCE WCZESNEJ WIOSNY...

*Fot. Menassé*



# 10 MINUT PORANNEJ GIMNASTYKI

★



Po gimnastyce i tuszu dobrze jest wymasować nogi i ręce, używając odpowiedniego kremu.

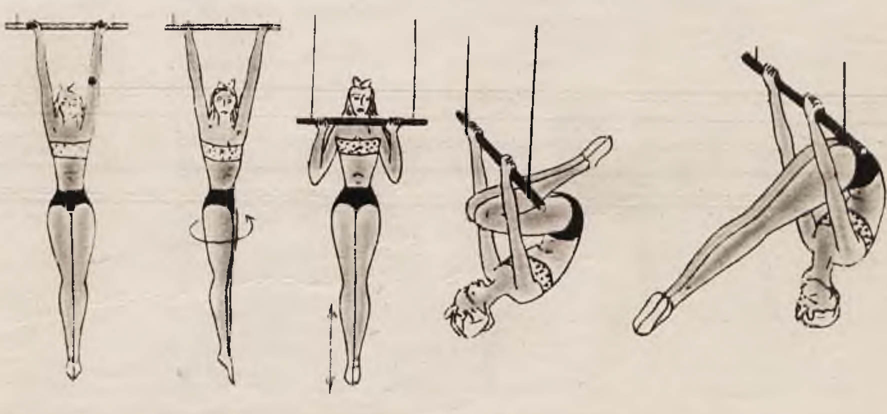
Jednem z doskonałych ćwiczeń na przyrządach, o które zazwyczaj trudno w domu, jest ćwiczenie na drążku, który można sobie z łatwością zainstalować w drzwiach sypialni. Ponieważ ćwiczenia te w szczególniejszy sposób przyczyniają się do uwysmuklenia sylwetki, co jest nieraz nieosiągalnem marzeniem wielu pań, przypuszczamy, że niejedna z nich pójdze za naszą radą i każe sobie umocować na sznurach drążek, który stanie się szybko codziennym towarzyszem i pomocnikiem w gimnastyce porannej. A i w ciągu dnia dobrze jest popróbować siły rąk przez chwilowe choćby zawiśnięcie na drążku.

**Ćwiczenie 1:** Zaczynamy od najprostszych ćwiczeń na drążku, bo narazie będzie to dość trudne dla wytrzymałości rąk i dla ich delikatnej skóry. To też lepiej podstawić taborecik pod nogi. Chywtamy się obydwiema rękami drążka i opuszczamy na nich całe ciało, próbując w ten sposób sił. Z asekuracją taborecika lub bez niej, ćwiczymy skręty bioder na prawo i na lewo. Gdy te ćwiczenia nie będą nam za jakiś czas sprawiały już żadnych trudności, próbujemy marszu na rękach, przesuwając ręce kolejno w jednym kierunku.

**Ćwiczenie 2:** Zawisnąwszy na drążku, podnosimy się nieco ku górze przy pomocy skurczu naszych bicepsów, przyczem jeżeli uniesiemy się tak wysoko, że popatrzymy powyżej drążka, to będzie już bardzo wysoki stopień siły. Kogo taka próba sił przeraża, może stanąć na wyższym nieco taboreciku niż poprzednio i z tej pozycji przy skurczu ramion opuszczać się potem w dół.

**Ćwiczenie 3:** Mając doskonale opanowane i wyrobione mięśnie przy pomocy poprzednich ćwiczeń, możemy próbować „koziołka" na drążku. Wykonujemy go w pozycji uwieszonej na drążku, przez przygięcie silne kolan i szybki a mocny rzut biodrami w górę. Natychmiast potem wyprostowujemy nogi w kolanach, aby uzyskać równowagę, poczem ciężar nóg przechyla nas w tył i już jesteśmy tuż przy ziemi, aby w ostatnim momencie odjąć ręce od drążka i stanąć na podłodze.

**Elwira.**



Od lewej: Prawidłowe zawiśnięcie na drążu. — Skręt bioder w prawo i w lewo. — Podciąganie w górę ciała na rękach. — Dwie fazy przerzutu nóg pod drążkiem (t. zw. koziołek).

ŁAMIGŁÓWKI MODY ★ MĘSKIEJ

# Komfort W SPORCIE

Strój sportowy jest już zarówno pod względem kroju jak i wytrzymałości materjału przystosowany do specyficznych okoliczności, jakie wytwarza uprawianie sportu. Wskutek tego myśliwy nie musi podczas deszczu szukać schronienia pod dachem, a rybak zamiast rozglądać się za łodzią wchodzi śmiało do wody w specjalnych butach z cholewami (woderach). Mimo jednak wielkiej odporności materjału, pozwalającej na nieoglądanie się za wygodniejszem locum i korzystanie wprost z wyścielonej mchem czy trawą ziemi, sportsmani chętnie posługują się przyrządami, które zapewniają im maksimum komfortu w terenie. Przykładem będzie tu laska-taborecik, używana przedewszystkiem przez myśliwych, rybaków i graczy w golfa, bo te rodzaje sportu wymagają ciągłej zmiany stanowiska.

*BRUMMEL.*





...DLA MYŚLIWEGO

...DLA RYBAKA

...DLA GRACZA W GOLFA

*Dokończenie na str. 7-mej*

pozwolenie na wzniesienie sobie pałacu w Meudon, gdzie stworzył osobny dwór, niezależny od Wersalu i znacznie mniej kontrolowany przez króla. Tam też w tajemnicy przyjmował swoją kochankę.

Mieszkała ona początkowo w Paryżu i od czasu do czasu tylko udawała się wynajętym powozem do Meudon. W skromnem przebraniu mieszczańskiem dostawała się do pałacu, aby spędzić kilka godzin w towarzystwie kochanka. Z biegiem czasu wizyty te stawały się coraz częstsze, a w końcu weszło w zwyczaj, że gdy Monseigneur przyjeżdżał na kilka dni do Meudon, przyjeżdżała również panna Choin na ten sam okres czasu. Robiła to zawsze bardzo tajemniczo, w pałacu nie pokazywała się nikomu, stale przebywając w swoim pokoiku na poddaszu. Otoczenie Delfina wiedziało wprawdzie o jej pobycie w pałacu, ale nie widywało jej początkowo zupełnie.

Po pewnym czasie stała się stałą mieszkanką Meudon Nie ograniczała się już wprawdzie do przebywania wyłącznie w jednym pokoju, ale pobyt jej był mimo to okryty pewną tajemniczością. Początkowo przebywała w towarzystwie Monseigneura tylko wtedy, kiedy wiedziała, że jest sam, później również i wtedy, gdy był w gronie kilku najbliższych osób.

Zebrania takie weszły w stały zwyczaj życia Meudon. Zawsze były otoczone tajemnicą i chociaż wszyscy wiedzieli o ich istnieniu, mało było osób, które na nich bywały. Prawo do uczestniczenia w tych intymnych zgromadzeniach, które otrzymały nawet swoją nazwę „Parvulo", było oznaką łaski i zaufania następcy tronu. Z biegiem lat grono osób dopuszczanych do „parvulo" zwiększało się. Bywali na nich synowie Monseigneura z żonami, księżna Conti, kilka dam, pewna ilość dworzan — wogóle poza najbliższą rodziną, ci, którzy licząc na rychły zgon króla, chcieli zawczasu zapewnić sobie łaski przyszłego monarchy.

Panna Choin grała na „parvulo" tę samą rolę, co pani de Maintenon w Wersalu. Tylko ona i Monseigneur używali foteli, a reszta towarzystwa, nie wyłączając książąt krwi, korzystała conajwyżej z taburetów. Zebrania te były najczęściej bardzo nudne, gdyż zajmowano się na nich tylko rozmową i czasem grą w karty.

Panna Choin pokazywała się rzadko, kiedy w Meudon było więcej osób, a usuwała się zupełnie, gdy przybywał król i pani de Maintenon. Ludwik XIV wiedział o jej istnieniu, ale nie sprzeciwiał się temu, gdyż nie wypadało mu ustosunkować się nieprzychylnie do tej, która wobec jego syna odgrywała tę samą rolę, co pani de Maintenon wobec niego.

Nie jest wyjaśniona kwestja, czy Monseigneur poślubił swą kochankę, ale wszystko przemawia raczej za tem, że tak. Właśnie stosunek króla do panny Choin pozwala przypuszczać, że małżeństwo zostało zawarte. Sam jej nie widywał nigdy, ale nieraz prosił panią de Maintenon, aby ją odwiedziła. Po śmierci syna wyznaczył pannie Choin pensję i zrobił swej żonie wymówkę, że nie wyraziła jej słów współczucia.

Mylne byłoby mniemanie, że panna Choin zrobiła nadzwyczajną karjerę przez związek z Delfinem. Miłość do niego nie dawała jej przez wiele lat żadnych korzyści, a przeciwnie stała się nawet powodem niełaski i odosobnienia. Sytuacja poprawiła się tylko nieznacznie, gdy zamieszkała w Meudon, gdyż mogła widywać tylko ograniczoną ilość stale tych samych osób. Jej sytuacja finansowa również nie była najlepsza. Monseigneur i w stosunku do niej nie wyzbył się skąpstwa. Wypłacał jej kwartalnie śmieszną małą sumę 400 funtów; robił to zawsze osobiście i skrupulatnie przeliczał, czy czasem się nie omylił.

Należy chyba przypuścić, że była do Delfina szczerze przywiązana. Nie miała żadnych ambicyj politycznych i nie myślała nigdy o możliwości wpływania na sprawy państwowe. Nie domagała się żadnych łask ani dla siebie, ani dla nikogo ze swoich. Była najzupełniej bezinteresowna: wystarczała jej skromna kwota, którą otrzymywała i nietylko nie żądała, ale nawet nie chciała więcej. Kiedy Monseigneur przed wyjazdem na wojnę zawiadomił ją, że sporządził testament, w którym zapisywał jej większą kwotę, wymogła na nim, aby w jej obecności spalił testament.

Stanowczo większe korzyści z tego związku odniósł Monseigneur. Panna Choin stworzyła mu dom, w którym nie czuł się osamotniony, niepotrzebny i śmieszny, w którym był panem, a nie pionkiem, skrytym w cieniu wielkiego ojca. Ona dała mu serce i kochała go dla niego samego, a nie dla jego przyszłej korony. Czegóż więcej mógł wymagać człowiek, który nietylko na serce, ale nawet na sympatję nie umiał sobie zasłużyć.

Mogłoby się zdawać, że w miarę starzenia się Ludwika XIV ilość ludzi, szukających zbliżenia do następcy tronu powinna była zwiększać się bardzo szybko. Otóż objaw ten zupełnie nie miał miejsca: ci, którzy liczyli na śmierć króla grupowali się nie koło osoby następcy tronu, lecz koło jego najstarszego syna, księcia de Bourgogne. Wielu było takich, którzy w skrytości ducha życzyli Delfinowi jak najrychlejszej śmierci, a zdarzali się i tacy, którzy nawet nie kryli się z tem. W czasie ostatniej choroby Monseigneura siostra jego, księżna Orleańska (córka pani de Montespan), dowiedziawszy się o poprawie stanu jego zdrowia, skarżyła się Saint Simonowi, że jeżeli wyjdzie z tej choroby, to nie będzie można niestety mieć nadziei na jego rychły zgon. Niepotrzebnie się martwiła: poprawa była tylko chwilowa i po paru dniach Monseigneur zmarł.

Był to chyba pierwszy wypadek, że postąpił zgodnie z życzeniami większości.

# Sylwetka nowoczesnej bajadery

Jedną z tajemnic filmowych ateliers jest maquillage gwiazd, ogromnie się różniący od tego, jakim się posługują artystki teatralne, nie mówiąc już o zabiegach kosmetycznych na codzień wszystkich innych kobiet. Na tę różnicę wpływają warunki świetlne, do których maquillage musi być skrupulatnie dostosowany. Światło dzienne bowiem zniekształca rysy twarzy „zrobione" dla sceny, a promienie jupiterów filmowych powodują, że zwykły dzienny maquillage zupełnie znika na zdjęciach. Jeszcze w większym stopniu odnosi się to do specjalnych zabiegów kosmetycznych, które mają np. zmienić barwę skóry artystki, grającej rolę kobiety rasy kolorowej. Wypadek taki zdarzył się ostatnio przy nakręcaniu przez jedną z firm amerykańskich filmu z udziałem całego tłumu bajader. Biedne girlsy musiały poddać się skomplikowanym zabiegom pokrycia skóry warstwą metalicznej farby, która dopiero w świetle reflektorów nadała właściwy wyraz sylwetkom nadobnych tancerek indyjskich. Jak widzimy na zamieszczonych obok zdjęciach, zabieg ten dochadzi do skutku z pomocą specjalnego rozpylacza. Zanim to jednak nastąpi, każda z tancerek poddać się musi prawdziwym torturom średniowiecznym, statystując przy montażu kostjumu, którego części metalowe są... spawane przez mechanika.



Przed pokryciem ciała metalową powłoką nasyca się skórę środkiem neutralizującym szkodliwe działanie tego preparatu.



Spawanie części metalowych napierśników.



Łączenie metalowych ozdób na nogach.

Poniżej: Nakładanie na ciało i kostjum metalowej powłoki przy pomocy rozpylacza.



# P R Z E P I S Y

## *odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.*

**ZUPA JARZYNOWA „A LA MINUTE".** Dwie małe cezrstwe bułeczki t. zw. warszawskie, kraje się drobno, kropi masłem i smaży na rumiano, poczem polewa się je dwoma jajami rozkłóconemi z paru łyżkami mleka i miesza na ogniu tak długo, aż się jaja zetną. Mięszaninę tę, rozdrobnioną widelcem wrzuca się do wazy i zalewa wodą z pod kalafiora, w której rozpuszczono kostkę bulionową lub łyżeczkę extraktu mięsnego.

**JARZYNY MIESZANE** (potrawa rumuńska). Dość sporą cebulę kraje się drobno i smaży na łyżce masła, nie rumieniąc jej jednak. Następnie dodaje się: 3 bakłażany sparzone lub opieczone i obciągnięte ze skórki, 5 papryk wyżłobionych i wyczyszczonych z włókien i ziarnek, oraz 6—7 pomidorów wszystko pokrajane w kostkę. Podlawszy posolonym rosołem. dusi się jarzyny na wolnym ogniu, a kiedy już są miękie, podprawia się je czterema łyżkami śmietany, roztartej z łyżką mąki, zagotowuje i podaje z ryżem lub makaronem.

**DZIKA KACZKA.** Po odstrzale należy dzikie ptactwo wypatroszyć i powiesić w miejscu przewiewnem, a chłodnem, aby mięso skruszało, po tym czasie dopiero, oskubuje się je z pierza i parzy wrzącym octem. Młodą kaczkę można zaraz natrzeć solą, gęsto naszpikować słoninką i upiec na rożnie lub zwyczajnie w piecyku na brytwance. Starszą należy jeszcze potrzymać w bajcu 2—3 dni. Do dzikiej kaczki podaje się kompot z brusznic lub ostrą sałatkę jarzynową.

**SAŁATKA HISZPAŃSKA.** Dwa duże pomidory parzy się wrzącą wodą, obciąga z łupki i kraje w kostkę. Dwa średniej wielkości ogórki surowe obiera się i kraje w plasterki, tak samo dużą tz. hiszpańską białą cebulę kraje się cienko. Wszystko razem soli się i miesza się z sosem majonezowym, sporządzonym z surowego żółtka utartego z 4 łyżkami oliwy, dolewanej kroplami i soku cytrynowego lub octu do smaku. Wymieszaną sałatę układa się na salaterce wyłożonej listkami sałaty głowiastej. Oryginalny przepis hiszpański zawiera też czosnek jako nieodzowny dodatek tamtejszych sałat.

**POTRAWA Z JAJ I POMIDORÓW.** Pół szklanki mleka 6 żółtek i 6 łyżek parmezanu ubija się na parze na gęsty krem. 5 dkg masła rozpala się na ogniotrwałej salaterce i wylewa na nie połowę ubitego na gęsto kremu. Następnie układa się warstwę drobno siekanej lub mielonej szynki i plasterki pomidorów sparzonych i obranych z łupki. Na wierzch wylewa się drugą połowę kremu. zmieszanego z pianą ubitą z trzech białek. Skropiwszy wierzch masłem wstawia się salaterkę do piecyka i zapieka na rumiano. W miejsce szynki można też użyć jaj na twardo lub pieczeni cielęcej pokrajanej w cienkie plastry.

**KONSERWOWANIE POMIDORÓW NA SUROWO.** Jednym ze sposobów konserwowania pomidorów do sałatek jest następujący: twarde lecz zupełnie dojrzałe pomidory obciera się czystą suchą ściereczką i układa w słoju. Ocet stołowy dość silny i w dobrym gatunku zagotowuje się z łyżką soli (na 1 litr) wystudza zupełnie i zalewa pomidory tak, aby były dobrze octem przykryte. Owiązany słój stawia się w chłodne miejsce. Przed użyciem należy tak konserwowane pomidory wymoczyć w czystej wodzie aby nie były zbyt ostre.

**INNY SPOSÓB KONSERWOWANIA POMIDORÓW.** Rozgotowane bez wody pomidory przeciera się przez sito. Uzyskany stąd płyn zagotowuje się i napełnia nim ćwierć lub półlitrowe flaszki. Chodzi mianowicie o to, aby raz otworzona flaszka była zaraz zużyta, bo resztki łatwo ulegają zepsuciu. Flaszki napełnia się płynem jaknajgorętszym, korkuje szczelnie i owija w ciepłe chustki, w których flaszki pozostają aż do zupełnego ostudzenia. Wkońcu zalewa się korki lakiem lub smółką i odstawia w suche a chłodne miejsce.

**TORT DROŻDŻOWY Z JABŁKAMI.** 1 i pół dkg drożdży rozpuszcza się w ósemce śmietanki i rozkłóca z dwoma żółtkami, poczem dodaje się zaraz (nie stawiając do rośnięcia) 20 dkg mąki, 12 dkg rozpuszczonego masła, łyżkę cukru i pół łyżeczki soli, oraz otartą skórką z połówki cytryny lub o ile ten aromat jest lubiany w miejsce cytryny, gałkę muszkatułową. Dobrze wyrobione ciasto odstawia się w niezbyt ciepłe miejsce na trzy godziny. Połową wyrośniętego ciasta wykłada się natartą masłem formę tortową, tworząc brzeg na całą wysokość tortownicy. Ciasto posypuje się tartą bułką, a następnie cienko pokrajanemi jabłkami wymieszanemi z cukrem, cynamonem i garstką rodzynków, następnie kładzie się na wierzch drugą połowę ciasta i zawija brzegi do środka, aby sok z jabłek nie wypływał. Posypawszy ciasto grubym cukrem krystalicznym wymieszanym z tłuczonymi migdałami, wstawia się je do dobrze nagrzanego piecyka i piecze przez godzinę.

**Sc. Ko.**

# PRZYRZĄDY ELEKTRYCZNE W GOSPODARSTWIE DOMOWEM



Elektryczne przyrządy zdobywają coraz donioślejsze znaczenie w gospodarstwie domowem. Oto estetyczne i praktyczne zestawienie na stole jadalnym. Elektryczna lampa, dalej na tym samym przewodzie grzejnik do kawy czy herbaty i piecyk do suszenia sucharków, tak zalecanych przy wielu dietach.

# 7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

*Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.*





| Święta rzym.-kat. | Tydzień 36 — **Wrzesień** — Dni 30 |
|---|---|
| Niedziela **3** Bronisławy | Zupa rizotto na śmietanie. Paszteciki kruche z wątróbką. Dzika kaczka z sałatą hiszpańską. Tort drożdżowy z jabłkami. <br>Kolacja: Zimny rozbef z ogórk. |
| Poniedziałek **4** Rozalii | Rosół z kaszką krajaną. Duszone rydze z ziemniaczkami. Pieczeń nerkowa z marchewką. Flameri owocowe. <br>Kolacja: Budyń z mięsa rosołowego. |
| Wtorek **5** Wawrzyńca | Zupa ogórkowa na śmietanie. Kotleciki jarzynowe. Pieczeń wieprzowa na musztardzie z czerwoną kapustą. Jabłka w cieście smażone. <br>Kolacja: Maczanki z pieczeni z obiadu. |
| Środa **6** Zachariasza pr. | Barszcz z uszkami. Fasola szparagowa w białym sosie. Kotleciki sarnie z sałatą surówką. Naleśniki z serem. <br>Kolacja: Jarzyny mieszane z ryżem. |
| Czwartek **7** Reginy p | Krupnik na kościach. Faszerowana kapusta. Kuropatwy w śmietanie z kluseczkami. Galaretka morelowa. <br>Kolacja: Potrawa z jaj i pomidorów. |
| Piątek **8** Narodz. NPM. | Zupa makaronowa na śmietanie. Kalafior z masłem. Karp w galarecie. Knedelki z ciasta parzonego z śliwkami. <br>Kolacja: Ryby bałtyckie wędzone. |
| Sobota **9** Gorgoniusza | Rosół z lanem ciastem. Sztuka mięsa z sosem pomidorowym. Rozbratle z maszynki. Kompot mieszany. <br>Kolacja: Omlety z grzybkami. |

# HOCKI-KLOCKI

### TORT ŚLUBNY.



— Chwileczkę, proszę państwa! coś mi się zdaje, że wymiary się nie zgadzają.
„Esquire".

## *Rozwiązanie z Nru 34-go.*

**SUMA CYFR.**

Suma cyfr lat 1903, 1912, 1921 i 1930 wynosi 12.

Rozwiązanie krzyżówki z Nru 34 w następnym numerze.

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

### POCIĄG Z WARSZAWY.

Pociąg pośpieszny wyjeżdża z Warszawy do Torunia i biegnie z szybkością 80 km na godzinę; równocześnie z Torunia wyrusza pociąg do Warszawy, jadący z szybkością 75 km na godzinę. W jakiej odległości będą od siebie oba te pociągi dokładnie na godzinę przed spotkaniem?

**Uwaga:** Odległość między Warszawą a Toruniem nie jest potrzebna do rozwiązania tego zadania.

### DOWCIPNA STASIA.

Gdy zapytałem Stasię, ile ona i jej młodsze rodzeństwo mają lat, zaskoczyła mnie następującą odpowiedzią:

„Jeśli pomnożysz moje lata przez lata Danusi, moje lata przez lata Henia, moje lata przez lat Miecia, a lata Danusi przez lata Henia, potem jej lata przez lata Miecia, a lata Henia przez lata Miecia; jeśli dodasz do siebie wyniki tych sześciu mnożeń, otrzymasz sumę o 57 mniejszą od sumy w ten sam sposób przemnożonych i dodanych naszych lat za rok.

A teraz jeszcze jedna, dodatkowa wiadomość, która ci pozwoli obliczyć nasze lata. Jeśli pomnożysz nasze lata przez siebie, iloczyn będzie o 250 mniejszy niż iloczyn naszych lat za rok".

Ile lat ma Stasia?

### PRZESTAWIENIE CYFR.

Jaką największą liczbę możemy otrzymać, przestawiając cyfry liczby

38017.

### NA PLAŻY.

Ojciec i Jaś idą do wydmy, oddalonej o 99 kroków od plaży. Jaś idzie pierwszy i dopiero gdy przeszedł 20 kroków, zaczął iść ojciec. Na każde 5 kroków ojca, Jaś robi 4 kroki.

Kto pierwszy dojdzie do wydmy?

### PRZEPRAWA PRZEZ LIMPOPO.

Wczoraj otrzymałem list od kapitana Hardania.

„Mam wiele kłopotu z memi czterema kolorowymi — pisał kapitan — Sambo, Jambo, Tambo i Limbo. Nie mogę pozostawić ani Jambo z Sambo lub z Tambo, ani też Tambo z Limbo. Nasza łódka może pomieścić tylko dwie osoby, a tylko ja i Sambo umiemy się z nią obchodzić. Poza tem Limbo za nic nie chciał się pierwszy przeprawić przez rzekę Limpopo. Wyobraź sobie, ile czasu zmarnowałem, nim nareszcie wszyscy znaleźliśmy się na drugim brzegu Limpopo".

W jaki sposób przeprawił się kapitan i jego czterej kolorowi na drugą stronę rzeki?

### NA MECZU.



— Gdyby tak ten aparat był telewizyjny, to prócz słyszenia jeszcze byśmy coś widzieli...
„Esquire".

### BUTELKA W MORZU.

Załoga statku kursującego między wyspami Melanezyjskiemi, wyłowiła z morza butelkę, w której znajdowało się jakieś pismo. Pismo to trudno było odczytać, gdyż papier uległ częściowemu uszkodzeniu przez wodę. Oto pismo takie, jakie je dostali marynarze:

J — — steśmy j — — n — j z — — — — Salo — ona Wz — w — — y p — — — cy wys — — jest bez — — — — —, żywi — — — — — ow — — — mi, bez pomocy n — — bę — — — emy — — gl — w — ó — i — — — oj — — yz — y. — es — e — — y z z — — ogi „Nar — y — a".

Czy Czytelnicy potrafią wstawić brakujące litery na miejsce kresek?

---

*Dokończenie ze str. 20-ej.*

wpływem tej katastrofy ledwo mogę zebrać myśli i zabrać się do pisania. Ale jakaś siła zmusza nieomal do pomówienia z Panem o tych wypadkach; wszyscy byliśmy tak optymistycznie w ostatnich dniach nastrojeni. Gdy widziałem Go po raz ostatni w parlamencie był znów pełen energji, chęci do walki i wszyscy myśleliśmy, że niebezpieczeństwo ostatnich dni znikło z horyzontu. Również lekarze byli tego zdania. Tylko Pan jeden spojrzał na pismo: muszę się Panu w tych smutnych godzinach przyznać, że nie mogę sobie darować, iż pominąwszy wszystkie formalności i przepisaną drogę służbową, nie pobiegłem do ministra celem zakomunikowania mu pańskiej djagnozy i pańskiego ostrzeżenia, aby więcej nie przestępował progu parlamentu i swego gabinetu w ministerstwie spraw zagranicznych. Że nie powiedziałem mu bez ogródek, iż najbliższe godziny mogą przynieść katastrofę, o ile nie zrezygnuje natychmiast z wszelkiej działalności politycznej. Jak pan wie, była to właśnie ta namiętna praca polityczna, ta dziwna namiętność, która spowodowała jego koniec. Niech Pan mi teraz pomoże i poradzi, jak mam sobie wybaczyć to przestępstwo, polegające na zbagatelizowaniu pańskiego ostrzeżenia? Może pan sobie wyobrazić, jak to wszystko na mnie wpłynęło deprymująco. Oddany René Kraus".

Czyż nie łatwo teraz uwierzyć, przeczytawszy to, co się stało z ministrem Stresemannem, że psychografolog, który nieraz z kilku przypadkowo nakreślonych słów zna przeznaczenie człowieka, chętnie nieraz nie oglądałoby niejednego pisma?

* * *

Niezbyt często zapewne zdarzało się w historji, aby żywot swój ministrowie finansów kończyli na... szubienicy! Z dziejów francuskiej rewolucji znamy wypadek powieszenia Klébera przez lud, który wśród okrzyków „a la lanterne!" powiesił nieszczęśnika. Zwykle jednak, zwłaszcza w czasach pokoju, wypadki takie nie należą do częstych. Zdarzyło się jednak, że właśnie życie takiego człowieka splotło się z moją egzystencją.

Było to w roku 1918, w Wiedniu. Bogaty kupiec turecki Ferruch Mehmet wręczył mi pewnego razu zaproszenie do swego kuzyna, ówczesnego ministra finansów, ekscelencji Dżawid Beja na obiad. Minister dużo o mnie słyszał i chciał mnie poznać, to też gdy po luksusowym obiedzie pożegnali go goście, zasiedliśmy we trójkę, minister Dżawid Bej, Ferruch Mehmet i ja, w fumoirze. Dżawid Bej, który znał się dosyć dobrze na grafologji i zdradzał wielkie zainteresowanie dla pisma swych znajomych, był oczywiście bardzo zaciekawiony mojemi eksperymentami. — Celem jego zaproszenia było właśnie poddanie swego pismo mej ekspertyzie.

Na kartce nakreślił kilka słów po turecku, chcąc sprawdzić, czy nieznane mi pismo i niezrozumiały tekst mogą być dla mnie odpowiednim materjałem do badań. Pierwszy raz w życiu zetknąłem się wtedy z pismem tureckiem.

Rzuciwszy okiem na kartkę, przestraszyłem się: widziałem w piśmie dobitnie tragiczny los piszącego. Najchętniej byłbym zamilczał całą sprawę, ale oddawałem się mimo wszystko nadziei, że ostrzeżenie moje zdoła oddać ministrowi pewne usługi.

*Ciąg dalszy nastąpi.*

# O tak! - to warto...



## ...usłyszeć

### Program radjowy:

**Niedziela, 3 września.**

9.00 Transmisja nabożeństwa z Krzemieńca.
17.15 Listy z Ameryki Melchiora Wańkowicza.
20.10 Reportaż dźwiękowy ze startu balonów w Międzynarodowych zawodach o puhar Gordon-Benneta.
20.55 Transmisja fragmentów meczu piłk. Polska—Bułgarja.
21.35 „Czwarty partner" — humoreska Kornela Makuszyńskiego.

**Poniedziałek, 4 września.**

14.45 „Z rejsów Zawiszy Czarnego".
21.00 Recital fortepianowy Stanisława Staniewicza.
21.30 Reportaż dźwiękowy z uroczystości ku czci Juljusza Słowackiego w Krzemieńcu.
21.50 Emil Młynarski: a) Scherzo z Symfonji E-Dur, b) Romans ze suity „Melodje dawniejsze" op. 3.

**Wtorek, 5 września.**

16.20 Recital organowy w wyk. Feliksa Nowowiejskiego.
18.40 C. M. Weber: Grand Duo Concertant Es-Dur na fortepian i klarnet — koncert.
19.30 Przy wieczerzy — koncert rozrywkowy.
20.10 Przemówienie ministra W. R. i P. prof. Wojciecha Świętosławskiego do nauczycieli.
21.00 Reportaż z uroczystości ku czci Juljusza Słowackiego w Krzemieńcu.
22.05 Współczesna sztuka wokalna we Włoszech — aud. muzyczno-słowna.

**Środa, dnia 6 września.**

11.00 Przemówienie ministra W. R. i O. P. prof. Wojciecha Świętosławskiego do młodzieży szkolnej.
11.30 Ze starych operetek francuskich — płyty.
18.00 Słynne symfonie — nowe nagrania płytowe.
21.00 Koncert chopinowski w wyk. M. Bilińskiej-Riegerowej.
22.05 Reportaż z meczu piłk. Polska—Jugosławja.

**Czwartek, dnia 7 września.**

11.25 Piosenki w wyk. Lucyny Szczepańskiej i Charlesa Kullmana (płyty).
19.00 „Wielkie włóczęgi morskie", z pamiętników samotnych żeglarzy (Slocum i Vos).
21.00 Recital skrzypcowy Eugenji Umińskiej.
21.30 „Męczennik miłości" — premiera słuchowiska.
23.15 Koncert muzyki góralskiej.

**Piątek, dnia 8 września.**

16.20 Pieśni w wykonaniu E. Bendera.
19.00 Recytacje poezji Norwida.
21.00 „Triumfalnym krokiem poloneza" — aud. muz. słowna.
22.00 „W polskich górach" — koncert symfoniczny.

**Sobota, dnia 9 września.**

16.20 Utwory skrzypcowe w wyk. Henryka Kowalskiego.
18.00 Polskie pieśni w wyk. Ady Witowskiej-Kamińskiej.
19.00 „Podróż do wnętrza materii".
20.00 „Melodie ziemi polskiej".

## ...przeczytać

### Nowe książki:

**WŁ. TOMKIEWICZ „Więzień kardynała".**

Mimo wartościowych i wnikliwych prac historycznych Szajnochy, mimo świetnych badań Kubali i kilku innych historyków, pozostała postać króla Jana Kazimierza jedną z najbardziej niewyraźnych w naszej historji. Dziwna ta postać przypomina swoją ponurością i skrytością postacie malowane przez Ribeirę, ukryte w półcieniu ukazujące się w świetle tylko fragmentarycznie, tajemnicze, jakby nie z tego świata. Jana Kazimierza możnaby, nietylko zresztą fizycznie, przyrównać do modelów Velasqueza, dumnych, zaciętych Hiszpanów, równie pełnych godności jak jakiejś dla nas niezrozumiałej uporczywości ograniczającej się jednak często do objawów zewnętrznych a nie mających głębszych podstaw duchowych. Ni król polski ni grand hiszpański, trochę Habsburg, bardzo mało Szwed, a również tylko z nazwiska — po kądzieli — Jagiellon, znudzony życiem i pełen wyniosłości, pobożny a nawet bigot a równocześnie łączący z tem upodobanie do intryg miłosnych, trochę ofiara losu a trochę własnych wad i własnego „repertuaru" duchowego — oto Jan Kazimierz, którego najlepiej znamy z trylogji Sienkiewicza, z obrazów Matejki, z „Ślubów". Ostatnio wydało tow. „Rój" ciekawą i właśnie z punktu widzenia psychologicznego cenną książkę „Więzień kardynała" Władysława Tomkiewicza, w której osią opowieści jest królewicz Jan Kazimierz, podróżujący z licznym dworem trzydziestu kilku osób po Europie i dostający się w końcu — płynąc brzegami Francji z Genuy — w szpony kardynała Armanda de Plessis Richelieu. Chociaż książka ma szczęśliwe i dobre pozory powieści albo opowieści opiera się na najlepszych źródłach, jest wierna historycznie i w sposób bardzo zgrabny, lekki a wierny, porusza te wszystkie zakulisowe, pogmatwane częstokroć i tak daleko sięgające, nici, które tworzyły kanwę owoczesnej polityki. Chęć wciągnięcia Polski do stronnictwa antyhabsburskiego oto cel zabiegów dworu paryskiego. Nie szły te zabiegi łatwo, jako że Wazowie i przez koligacje z Habsburgami i z powodu politycznych względów niechętni byli profrancuskiej polityce a przynajmniej nie chcieli się z nią afiszować. Jak wyglądała taka wyprawa turystyczno-polityczna jaką przedsięwziął królewicz, jak doszło do aresztowania jego i osadzenia w twierdzy południowo-francuskiej jak w końcu odbiło się to na jego życiu, usposobieniu, i jakie miało polityczne konsekwencje — oto treść barwnej naprawdę dobrej książki, która daje nam dużo historji w sposób bardzo łatwy i miły. **JGM.**

**JERZY WALLDORF. „Sztuka pod dyktaturą"**

Na łamach prasy toczy się namiętny spór, co sztuce sprzyja, jaki system polityczny, czy faszystowski, czy komunistyczny, czy demokratyczny.

Spór ów nie rozjaśnia tezy postawionej, gdyż narodziny twórcy odbywają się na marginesie wszelkich epok historycznych i politycznych systemów. Natomiast dyktatorzy współcześni zaprzęgają do swego rydwanu utylitarną twórczość artystyczną, posługując się j e d y n i e swojemi upodobaniami. Stąd powstał bunt i rozlegają się głosy, że faszyzm i hitleryzm to śmierć dla sztuki.

Jerzy Walldorf w swojej ciekawej książce „Sztuka pod dyktaturą" próbuje wprowadzić nas w splot różnorodnych zagadnień estetyczno-politycznych. Książka, napisana barwnie i żywo, zmusza czytelnika do reakcji, do zajęcia swego stanowiska i swego określenia w sprawie wypowiedzi autora. Jerzy Walldorf w czasie swej miesięcznej wędrówce po Włoszech przekonał się, iż najbardziej gigantyczne plany architektów realizują się na skutek woli wodza narodu, jak to było w okresie faraonów. Faszyzm zorganizował umiejętną organizację sprzedaży dzieł malarskich, zapewniając malarzom dobre warunki egzystencji. Teatr włoski zdobywa się na kosztowne inscenizacje plenerowe. Dzięki wysokiej kulturze współczesnych Włoch j e d y n y m wskaźnikiem wyboru dzieła sztuki są jego zalety artystyczne. Postulatem faszystowskiego systemu jest jak twierdzi Walldorf, dobra sztuka. Od twórców domaga się faszyzm jedynie doskonałego dzieła. Dzieła sztuki mają swój wewnętrzny imperatyw, a narzucona wola dyktatora sprowadzoną jest do pewnych umówionych gestów i formuł, — podczas, gdy w pracowni kwitnie polot i niczem nie krępowana fantazja. Jerzy Walldorf, w rezultacie przyznaje rację faszyzmowi. Czy tak jest w istocie, jak twierdzi młody entuzjasta? W dziejach sztuki wola przemożnych mecenasów sztuki zbudowała Florencję i Watykan. O ile w urbanistyce i architekturze nie można wypowiedzieć antyfaszystowskiej deklaracji, to natomiast literat operujący słowem i wyobraźnią, ma w Italji zamkniętą swobodę twórczości. Musi dostosować się do systemu, a w twórczości swej odczuć hamulce i cudze inspiracje.
**mdd.**

AS Nr. 36

Kompozycyj nadesłanych do działu Muzycznego „Asa" nie honoruje się ani co do części muzycznej ani też tekstowej. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca. — Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji. — Zakłady Graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codz.", Kraków, ulica Wielopole 1, pod zarządem dyr. Fr. Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1.